



WIDNOKRAĆ

UKAZUJE SIĘ
Z „NOWINAMI
RZESZOWSKIMI”
Nr 46 (372)
16 listopada 1968

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

S. Grabowska

Wokół prawa do eksperymentu

„Po co wystawiać takie sztuki? Nie wiadomo, co autor miał na myśli, co chciał powiedzieć? Kpi-ny z publiczności!”

Sztuka, o którą chodziło oburzonemu panu, odbierającemu w czasie przerwy płaszcz w szatni, rzeczywiście nie odznaczała się walorami ideowymi, ani chyba poznawczymi. Była po prostu żartobliwą żonglerką słowną wywracającą do góry nogami (ale ciekawie artystycznie) normalny sposób widzenia świata. Wspinała grana, stanowiła dla widzów dwie godziny rozrywki polegającej co prawda — jak się wydaje — na podziwieniu dla aktorów i dla fantazji autora: czego to ludzie nie wymyślą! I koniec.

Kłopoty mecenasów

A więc: miał rację (niejeden zresztą) oburzony widz? Nie wystawiać takich sztuk? Nie drukować książek, z których dla wielu czytelników, w każdym razie dla większości czytelników, nic nie wynika, przez które nie można przebrnąć? Nie wieszać w salach wystawowych obrazów, które dla większości widzów stanowią tylko mniej lub bardziej strawną kompozycję plam i kresek? Nie uwzględniać w planach koncertowych, w płytowych nagraniach takich utworów muzycznych, które w uszach współcze-

nych „zwykłych” słuchaczy brzmią jak kakofonia nieskoordynowanych dźwięków?

W jakim stopniu państwo czy społeczeństwo, które jest w naszym kraju jedynym mecenasem kultury, popierać ma, a więc finansować eksperymenty poszczególnych twórców, udzielać kredytu zaufania, a więc wydawać mniejsze czy większe sumy na realizację poszukiwań artystycznych, które mogą okazać się fiaskiem? Ale bez których jednocześnie niemożliwy jest rozwój żadnej z dziedzin sztuki... Jak wyważyć ową troskę o rozwój twórczości na szali społecznych potrzeb i zainteresowań, a także finansowych — ograniczonych przecież — możliwości.

Tezy na V Zjazd PZPR ujmowały zagadnienie ogólnie: „Partia opowiada się za rozwojem różnorodnych form wyrazu artystycznego we wszystkich dziedzinach sztuki, lecz popiera przede wszystkim te poszukiwania twórcze, które są podporządkowane nadrzędnym celom ideologicznym oraz potrzebom najszerszych kręgów społeczeństwa”.

Konkretyzacja tego stwierdzenia, określenie wymagań pod adresem twórców, ocena potrzeby i wartości twórczych ekspe-

(Ciąg dalszy na str. 3)

NIEMAL W PRZED-
DNIU rozpoczęcia obrad
V Zjazdu PZPR ukazał
się nowy rocznik statystyczny
1968. Jak zwykle, stanowi
pasjonującą lekturę, zwłaszcza
w zestawieniu z ujętymi
w szerokiej retrospekcji in-
formacjami za lata poprzed-
nie. Rzućmy okiem na nie-
które liczby dotyczące kultu-
ry. Statystyka ta umożliwia
uchwycenie ogólnych tenden-
cji rozwojowych życia kulta-
ralnego w naszym kraju w
okresie międzyzjazdowym o-
raz społecznego zasięgu nie-
których form pracy kultural-
nej.

W okresie ostatnich 4 lat
nasze teatry i sceny amator-
skie, świetlice i domy kultu-
ry, kina i kluby na 2,5 mln
impresz gościły publiczność
złożoną z 260 mln osób. Roz-
szerzył się znacznie krąg a-
matorów czynnego uprawia-
nia różnego typu dyscyplin
kulturalnych — plastyki, tań-
ca, recytacji. Tylko w roku
ubiegłym 210 tys. artystów-
amatorów dało blisko 82 tys.
spektakli, z czego prawie po-
łowę — na wsi. W sposób
czynny uczestniczy w życiu
kulturalnym blisko milion
Polaków, pracując w 35 169
zespołach oświatowych i ar-
tystycznych. Są imprezy kul-
turalne, które budzą zdumie-
nie dzięki swemu zasięgowi.
Do nich zaliczyć wypada kon-
kursy recytatorskie mające
150 tys. uczestników, kon-
kursy piosenki radzieckiej
itp.

W latach 1965—1968 wy-
dano na kulturę i sztukę
z budżetu państwa 14 miliard-
ów 623 mln zł. Nie miesz-
czą się, oczywiście, w tej
kwocie sumy przeznaczone na
cele upowszechniania kultury

z funduszy zakładowych, z
dotacji zw. zaw. oraz insty-
tucji państwowych i spół-
dzielczych. Na inwestycje
przeznaczono w tym czasie 1
miliard 821 mln zł. Trzeba
przypomnieć, że właśnie w
tych latach zakończona była,
lub kontynuowana budowa
takich obiektów, jak Teatr
Wielki w Warszawie, Teatr
Wielki w Łodzi, centra ra-
diowo-telewizyjne w Warsza-
wie i Krakowie.

kiej przyszości, bo już w
1970 r., dzięki rozbudowie
przemysłu poligraficznego —
będziemy mieli rocznie 160
mln egz. książek. W okresie
całego minionego 4-lecia wy-
daliśmy łącznie ponad 408
mln tomów, a zatem 12,5 egz.
na mieszkańca kraju.

Systematycznie wzrasta
liczba wydawanych czasopism
i gazet, podnoszą się ich na-
kłady. Z maszyn drukarskich
schodzą 1 522 tytuły dzienni-
ków i periodyków, o global-
nym nakładzie 2 697,5 mln
egz.

Wielka dynamika rozwojo-
wa cechuje nasze bibliotekar-
stwo. W okresie 4 lat przy-
było ponad 400 bibliotek, a
liczba woluminów powiększy-
ła się o 30 mln. Mamy więc
50,5 tys. bibliotek różnego
typu z księgozbiorem prze-
kraczającym 182 mln tomów.

Istnieje w Polsce 336 mu-
zeów; w 1965 r. było ich 261.
W r. ub. muzea te odwiedziło
ponad 16 mln osób, co jest
liczbą imponującą w zesta-
wieniu z liczbą mieszkańców
kraju. Największą frekwencją
cieszyły się muzea Warsza-
wy.

Lista osiągnięć kultural-
nych byłaby niepełna, bez
podkreślenia, że w 131 tea-
trach dramatycznych i mu-
zycznych dajemy rocznie
43 277 przedstawień dla wi-
downi przekraczającej 18,5
mln osób. Zespoły estradowe
i cyrki osiągają rocznie 42,9
tys. spektakli, goszcząc 13
mln widzów. W kinach bywa
w ciągu roku 163 111 tys. mi-
łośników X Muzy.

W przyszłym planie 5-
letnim aż 3-krotnie wzros-
ną kwoty przeznaczone na in-
westycje kultury, a w pla-
nach terenowych — nawet
4,5-krotnie.

W najbliższych latach kon-
tynuowana będzie renowacja
Wawelu i dalsza rozbudowa
Muzeum Narodowego w Kra-
kowie, nowy gmach otrzyma
Muzeum Narodowe w Pozna-
niu. Poważne sumy przewi-
dziano na odbudowę zespo-
łów zabytkowych w Wiśliczu,
Kraszynie, Biskupinie, Kali-
szu, Toruniu, Pasłęku. Prze-
widuje się organizację skan-
senów w Sanoku, Chorzowie,
Smolniku, Olsztynku. Poważ-
ne pozycje inwestycyjne
stanowi budowa kompleksu
Biblioteki Narodowej w War-
szawie oraz siedziby Akade-
mii Sztuki w Krakowie. O-
statnia z wymienionych pla-
cówek połączy w jednym ze-
spole Wyższą Szkołę Tea-
tralną, Wyższą Szkołę Mu-
zyczną i Akademię Sztuk
Plastycznych. Duże nakłady
finansowe pochłonie moder-
nizacja zakładów przemysło-
wych, nadzorowanych przez
resort kultury, przede wszyst-
kim — poligrafii, na którą do
1980 r. wyda się 5 mlrd
200 mln złotych.

Wymienione dla przykładu
nieliczne tylko pozycje z li-
sty inwestycyjnej, obrazują
zrozumienie dla potrzeb roz-
wojowych kultury. Powołany
w MKiS specjalny zespół
koordynacyjny ustala progno-
zy rozwoju bazy kulturalnej
do 1985 r., w oparciu o plan
ogólnogospodarczy poszcze-
gólnych regionów. Plan taki
opracowała już stolica i re-
gion podwarszawski. Pozo-
stałe — ukończone będą nie-
bawem.

O KULTURZE — JĘZYKIEM LICZB

Miniony okres cechuje dal-
szy rozwój działalności wy-
dawniczej. W 1964 r. z dru-
karni naszych wyszło 8 260
tys. książek i broszur w na-
kładzie blisko 89 500 tys. W
tym roku wydamy 10 300 ty-
tułów książek, a łączny ich
nakład przekroczy 110
mln egz. Dodajmy: w 1937 r.
nakłady wydawanych w Pol-
sce książek nie przekroczyły
29,2 mln tomów. W niedale-



Fot. M. KOPEC

Listy z Łańcuta

O upowszechnianiu...

SZANOWNY PANIE
REDAKTORZE!

Spieszę donieść Panu o pewnym wydarzeniu kulturalnym w Łańcutcie, o którym, wydaje mi się, bardzo warto napisać gwoździ wiadomości zainteresowanym i przykładu innym.

Otóż, jak wiadomo, Łańcut miasteczko powiatowe — turystyczne bez kina, bez domu kultury, bez sali widow-

cach stałego nawyku „spożywania” tego rodzaju dóbr kultury.

Skoro już mowa o upowszechnianiu kultury, chciałabym powiadomić o innej formie tego złozonego celu. Otóż Państwowa Poradnia Kult.-Oświatowa w Łańcutcie nie tylko inicjuje wystawy indywidualne Antoniny Jakubickowej w Łańcutcie, ale również (tu należy dać mocne brawo) organizuje

muje zwiedzających, dorzucając przy okazji garść wiadomości o historii miasta i zachowanym zabytku.

Łańcutcka synagoga została zbudowana w 1761 r. z fundacji ówczesnego właściciela marszałka wielkiego koronnego, Stanisława Lubomirskiego. Murowana, okazała, wewnątrz ściany bogato dekorowane sztukateriami. Motywy roślinne, zwierzęce, symbole, napisy hebrajskie, znakomicie zachowane, barwne, robią ogromne wrażenie. Na urok unikalnego dzisiaj wnętrza zwrócił uwagę już

w 1800 roku malarz J. Vogel uwieczniając je w znanej akwarceli, zachowanej w Gabinetcie Rycin UW.

Nieużytkowany przez długie lata budynek wymaga dzisiaj konserwacji, zwłaszcza jego malowidła ściennie. Pod polichromią z XIX wieku znajduje się wcześniejsza, z II połowy XVIII w., której odświeżenie wymaga żmudnych prac konserwatorskich.

Miejmy jednak nadzieję, że tej klasy zabytek znajdzie zrozumienie i protektorat.

TERESA ŻURAWSKA

Jarmark pieśni i tańca...

Z zainteresowaniem śledziliśmy przygotowania Wojewódzkiego Domu Kultury do organizowanego w Mielcu wspólnie z Zakładowym Domem Kultury tamtejszej WSK „I Rzeszowskiego Jarmarku Pieśni i Tańca”. Program imprezy, rozpoczynającej się w dniu dzisiejszym, tj. 16 bm. i mającej trwać do 20 bm. będzie stanowił przegląd dorobku kulturalnego naszego regionu, a także okazję do dyskusji nad formami popularyzacji folkloru.

Na imprezy „Jarmarku”, w którym wezmą udział najlepsze zespoły artystyczne, przybędą przedstawiciele instytucji i placówek zainteresowanych rozwojem amatorskiego ruchu artystycznego i jego propagowaniem tj. Ministerstwa Kultury i Sztuki, Centralnej Poradni Amatorskiego Ruchu Artystycznego, muzeów regionalnych woj. rzeszowskiego, instruktorów tańca i muzyki WDK oraz przedstawiciele zespołów pieśni i tańca z całego kraju.

„Jarmark” zainauguruje w dniu dzisiejszym Prezydium PRN w Mielcu Rudolfa Junikiewicza, który będzie mówił o dorobku gospodarczym, społeczno-politycznym i kulturalno-oświatowym powiatu mieleckiego, wystąpienie wiceprzewodniczącego Prezydium WRN Mieczysława Kaczora oraz referat dyrektora WDK Czesława Świątoniowskiego nt. „Amatorski ruch artystyczny w Rzeszowskim”. W tym samym dniu otwarta zostanie, zorganizowana przez Muzeum Okręgowe w Rzeszowie, wystawa: „Sztuka ludowa woj. rzeszowskiego” (dawna rzeźba ludowa i stroje). Rozpoczną się również koncerty zespołów artystycznych. Zainauguruje je Zespół Pieśni i Tańca WDK, a następnie wystąpią kapela ludowa z WDK i Bud Łańcutkich, a także zespół regionalny z Gaci koło Przeworska.

Drugi dzień tego święta kultury rzeszowskiej rozpocznie poranek poetycki pt. „Leca wiórka, leca” w wykonaniu aktorów Państwowego Teatru im. W. Sienkowskiej w Rzeszowie. Wieczorem odbędą się koncerty kapeli Huty Szkła w Krośnie, zespołów regionalnych: Zakładów Przemysłu Drzewnego „Forest” w Gorlicach, zespołu z Łużnej, pow. gorlicki i Domaradza, a także z Fabryki Obuwia Sportowego z Krosna, z Tarnobrzega oraz koncert zespołu Pieśni i Tańca „Rzeszowiacy” — WSK Mielec.

18 bm. odbędzie się sesja popularnonaukowa, podczas której doc. Franciszek Kotula wygłosi referat nt. „Regiony etnograficzne woj. rzeszowskiego”, a mgr Anna Szalańska z Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk o-mówi temat „Folklor muzyczny w Polsce”. Redaktor naczelny „Kultury i Życia” Józef Grzyb przedstawi referat pt. „Amatorski ruch artystyczny we współczesnej kulturze polskiej”. W tym samym dniu uczestnikom sesji zaprezentuje się Zespół Pieśni i Tańca „Lasowiacy” z ZDK Huty „Stalowa Wola”.

Wieczorem 19 bm. wystąpi gościnnie z koncertem Zespół Pieśni i Tańca Zw. Zaw. Włóknarzy „Beskid” z Biełska - Białej, a następnego dnia Zespół Pieśni i Tańca Zakładów Azotowych w Tarnowie „Świerczkowiacy”.

(stanski)

Chrońmy zabytki przyrody

Na pewno odczuwamy brak publikacji informujących społeczeństwo, a przede wszystkim młodzież, o potrzebie ochrony zabytków przyrody i kultury. Takiej publikacji nie posiada również powiat łańcutki. A szkoda, gdyż znajduje się tu sporo obiektów godnych uwagi i opisu.

Na pierwszym miejscu wymienić należy parki podworskie. Jest ich kilka. Oczywiście zasługują rzadkie gatunki rodzimych i obcych drzew.

Kapitałnym uzupełnieniem łańcutkiego parku jest śliczny, po prostu bajkowy ogród zimowy, mieszczący się w Oranżerii.

Poza parkiem zamkowym w Łańcutcie na szczególną uwagę zasługuje duży, stosunkowo świetnie zachowany park o charakterze leśnym w Julinie. Największą ozdobę tego parku stanowi może nie tyle drewniany myśliwski pałacyk Potockich, co stara, piękna aleja modrzewiowa, znajdująca się tuż przy wejściu do parku.

Bardzo ciekawy jest również park podworski w Potoku. Otaczał on kiedyś niewielki, ale bardzo miły, zbudowany w stylu romantyczno-gotyckim dworek. Niestety, dworek ten już nie istnieje; uległ zniszczeniu. Nie najlepiej też przedstawia się stan samego parku. Przepływał przez niego potok, od którego miejscowość prawdopodobnie przyjęła nazwę. Jego czyste i obfite kiedyś wody wykorzystano do miniaturowych jezior i wodospadów. Wpływy romantyzmu wycisnę-

ły tu swoje zdecydowane piętno. Dzisiaj z nich nie pozostało prawie śladu.

Jeszcze gorzej przedstawiają się resztki parku włoskiego z XVI wieku w Łańcutcie. Znajdował się tu kiedyś „Mniejszy dwór” Stanisława Stadnickiego, zwanego powszechnie „Diabłem” na Łańcutcie. Pierwsze duże zniszczenia powstały w XIX wieku na skutek wybudowania na jego terenie stacji kolejowej i wytwórni wódek Potockich.

Obszar parku posiada dzisiaj dwóch właścicieli — PKP i Łańcutkie Zakłady Przemysłu Spirytusowego. Fakt ten na pewno nie sprzyja sprawowaniu należytej opieki nad resztkami cennej jeszcze wartościowego drzewostanu i pozostałościami dawnych urządzeń ozdobnych.

Kilkanaście lat temu Łańcutkie Zakłady Przemysłu Spirytusowego zupełnie niepotrzebnie zniszczyły starą, wyjątkowo piękną aleję lipową. Biegła nią od stacji kolejowej przez tak zwany „Trześnik” do Małego Zameczku stara droga.

Niebył dobrze przedstawia się także park podworski z kamienną grota i źródłem „Marsusa” o leczniczych ponoć właściwościach oraz murowany dworek Oborskich w Husowie. Ich użytkownicy ze zdumiewającą obojętnością przyglądają się permanentnemu procesowi niszczenia starego drzewostanu i ciekawej budowl.

Podobnie wygląda park podworski w Białobrzegach. Pozostał w nim murowany dworek, ale drzew zostało niewiele. Znikają również, należące kiedyś do czołwicy, budynki gospodarcze. Nie istnieje też starszy dwór z gankiem podpartym kolumnami, w którym kiedyś miał się mieścić zbor ariński. Został bez uzasadnionej przyczyny rozebrany bezpośrednio przed wyzwoleniem przez ostatniego właściciela, Adama Zysa, lekarza dentystę.

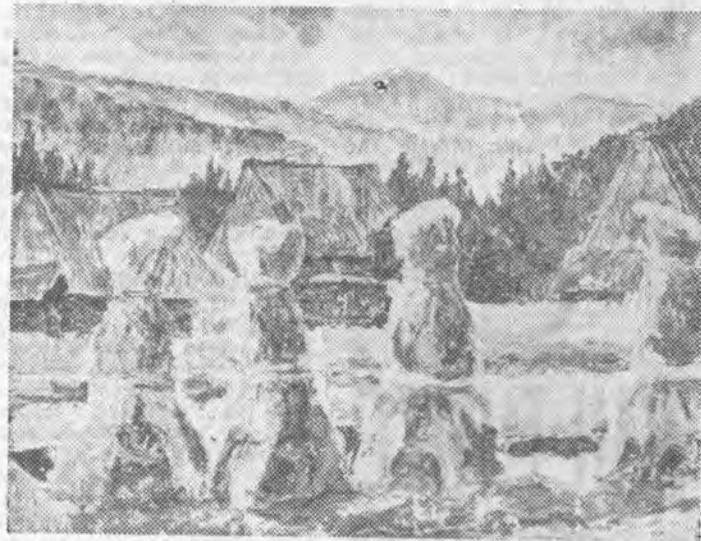
Nie najlepiej też przedstawiają się resztki zabytkowego drzewostanu w miejscowościach pofolwarczych — w Gluchowie, Krzemienicy, Kosinie, Rogoźnie, Wysokiej, Woli Małej z zabytkowym dwupiętrowym „Gołębikiem” oraz folwarków „Dolne” i „Górne”. Przy „Dolnym” znajduje się murowany zabytkowy dworek i budynki gospodarcze, przy „Górnym” — zabytkowy murowany spichlerz.

Większej opieki wymaga rezerwat potężnych dębów na Podzwierzynie w Łańcutcie, tak zwany „Dębnik”. Stąd w kierunku Rogoźna i Żołyni przypuszczalnie kiedyś rozciągała się prastara puszcza dębowa, czy też większe skupiska dębów, o czym świadczy wykopywane na tej przestrzeni szerniałe dnie.

Opieki i odpowiednich zabiegów konserwatorskich wymagają też rozrzucone na terenie miasta i okolicznych wiosek nie wymienione dotąd liczne aleje lipowe, bukowe, dębowe i inne.

Nie ujęte są dotąd żadną ewidencją ostatnie pojedyncze okazy większych drzew, znajdujących się jeszcze w każdej miejscowości. Większość z nich zachowała się dzięki temu, że znajdują się na nich, nierzadko o dużej wartości artystycznej i zabytkowej, rzeźby ludowe.

(Ciąg dalszy na str. 7)



Antonina Jakubickowa

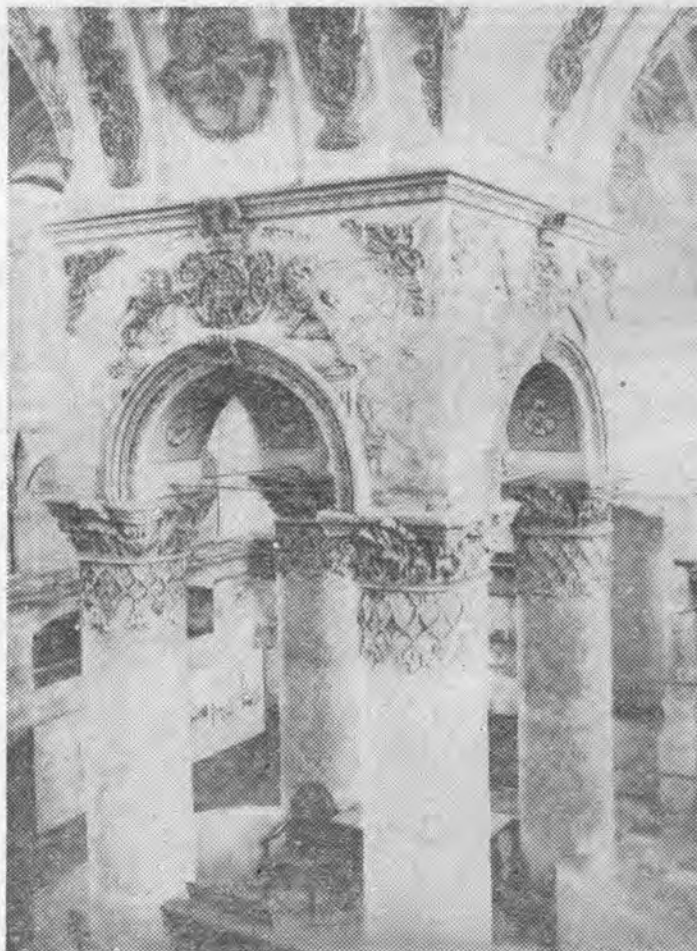
skowej, bez... bez... o można by wiele wymieniać. Od niedawna ciemny horyzont zamierzonego życia kulturalnego Łańcuta poczęła rozjaśniać nadzieję, bowiem, kosztem półtora miliona złotych wyremontowano Muzeum zabytkowy pawilon parkowy tzw. Zameczek Romantyczny. Prace ukończono, brakuje tylko wyposażenia i zorganizowania pracy klubu, do czego zobowiązał się Związek Pracowników Kultury i Sztuki. Pieniądze w wysokości 250 tys. zł podobno już, tuż mają nadejść. Na razie jednak nadeszły długie wieczory, co tu ukrywać, dla mieszkańców Łańcuta koszarne w swej nudzie i beznadziejności.

Człowiek potrzebuje pożytki, tzw. stawy duchowej i oto człowiek Łańcuta ją ma. Czyjaś genialna myśl kazala otworzyć ciężką, żelazną bramę wspaniałej synagogi, by pokazać w jej wnętrzu wystawę prac malarzskich Antoniny Jakubickowej, znanej wszystkim mieszkańcom Łańcuta i powiatu. Oglądnięcie 30 uroczych prac może zachęcić kogoś do dyskusji z przyjaciółmi. Dlatego tę wystawę z udostępnieniem unikalnego, zabytkowego wnętrza synagogi uważam za wydarzenie kulturalne dla miasta i jego mieszkańców.

Antonina Jakubickowa, uczennica prof. Sichulskiego we Lwowie jest z Łańcutem związana od 1959 r. i od tam roku obdarza miasto nową wystawą zawsze bardzo pogodną, wzbudzającą miłe doznania estetyczne, u młodych. Były lata bogate, kiedy organizowano dwie jej wystawy: wiosenną i jesienną. Dotychczas ekspozycje odbywały się w sali konferencyjnej Powiatowej Rady Narodowej w niesprzyjających bynajmniej warunkach. Brak miejsca do rozmieszczenia obrazów, możliwość udostępnienia wystawy tylko w godzinach urzędowych, wreszcie często zajęta sala, zgodnie z przeznaczeniem, nie mogły zachęcić do zwiedzania i nie wyrobiły w mieszkań-

spotkania na wsi. Wsie: Korniańców, Białobrzegi, Dębina, Wola Dalsza, Medynia Głogowska i Medynia Łańcutka znają już zarówno prace malarzskie Antoniny Jakubickowej, jak i jej ciekawą postać. Spotkania odbywają się wieczorami w okresie jesieni i zimy, w świetlicach lub klubach wiejskich. Przy pełnej sali Antonina Jakubickowa prezentuje swoje malarstwo (do 8 obrazów) i odpowiada na liczne pytania dotyczące już to tajemnic warsztatowych, już to spraw materialnych związanych z twórczością.

Na czynnej obecnie wystawie A. Jakubickowa infor-



Wnętrze synagogi

Fot. Z. LIS

Wokół prawa do eksperymentu

(Ciąg dalszy ze str. 1)

rymentów są już kwestią odpowiedzialności i artystycznej świadomości ludzi, decydujących o kierunkach rozwoju poszczególnych dziedzin działalności kulturalnej.

Sprawy kultury i sztuki przestały być w naszym kraju domeną zainteresowań wąskiej warstwy ludzi wykształconych, otrzymały rangę problemu ogólnopolskiego, ogólnospołecznego. Powstało w ten sposób i u-mocniło się właściwie powszechnie cenne i wartościowe poczucie osobistej, obywatelskiej odpowiedzialności i troski o kształt kultury, o ideową i artystyczną wartość popularizowanych dzieł, o to, czy i jak zaspokajają one kulturalne potrzeby odbiorców. Chodzi o to, by owo poczucie obywatelskiej odpowiedzialności i troski łączyło się ze świadomością trudności decyzji w polityce kulturalnej, ze zrozumieniem złożoności kierunków kulturalnego rozwoju, z szerszym — nie przez pryzmat osobistych ocen — spojrzeniem na problem artystycznych poszukiwań.

Przyjemne sprawy sztuki

— Dobrze — powie niejedynemu zirytowanemu czytelnik niezrozumiałej prozy Buczkowskiego, oburzony pan z teatralnej szatni, widz, który wyszedł z kina w trakcie choćby filmu „Żywy Mateusz”, czy słuchacz wyłączający ze złością galkę radiodiodownika, w czasie transmisji z „Warszawskiej Jesieni” — niech ludzie genialni sobie eksperymentują, ale dlaczego za moje, za nasze pieniądze, dlaczego „marnuje się” na to papier, ludzką pracę, czas na antenie?

I o odpowiedź na to oburzenie chodzi chyba przede wszystkim. O określenie — skali potrzeb upowszechnienia kultury, w skali możliwości zaspokajania tych potrzeb — ram i zakresu eksperymentów artystycznych. Czy można określić owe ramy?

Pod jednym kątem można na pewno: pod kątem angażowania sił i środków, jakie poza ludzkim talentem niezbędne są dla prowadzenia poszukiwań i — przede wszystkim — przedstawiania ich odbiorcom.

To znaczy — na pewno szerzej powstawać mogą i być prezentowane widzom „udziwnione” i niezrozumiałe obrazy czy rzeźby, niż książki pisane w sposób niedostępny dla przeciętnego czytelnika. Ostatecznie — aby malarz czy rzeźbiarz mógł „sprawdzić” swą twórczość u odbiorców — wystarczy miejsce na ścianie w galerii, czy placyk w plenerze. Pisarzowi trzeba zabezpieczyć papier, honorarium, drukarnię, intrologatornie, ekspedycję „Domu Książki”... Większy jest i może być margines swobody eksperymentowania w teatrze, niż w filmie. Wielokrotnie taniej kosztuje przecież wystawienie sztuki, niż produkcja filmu, której koszt liczy się — bez przesady — w milionach.

Ale nie tylko „finansowa” czy „gospodarcza” specyfika poszczególnych dziedzin twórczości określa szerokość ram eksperymentów artystycznych. Chodzi także o drogę, którą docierają do odbiorców. Praktycznie każdy, najbardziej nawet „awangardowy” utwór muzyczny ma szansę — o ile dyrygent zdecydował się umieścić go w repertuarze — być wykonany w czasie koncertu. Nagranie płytowe, a jeszcze bardziej włączenie do repertuaru nagrań radiowych musi już być uzasadnione szerzej uznaną wartością utworu.

Podobnie śmiało i szeroko sięgać mogą do nowatorskich i dyskusyjnych sztuk sceny eksperymentalne, jakich wiele w Polsce, ale już zaprezentowanie tych samych sztuk w telewizji wymaga dużej rozwagi i namysłu. Ostatecznie pomijając koszt spektaklu telewizyjnego, trzeba się liczyć z milionami widzów, którym trzeba przedstawić program co najmniej zrozumiały.

I w tych — przyjemnych sprawach sztuki — zawarty jest chyba podstawowy klucz do zrozumienia faktu, że słusznie „nie pozwolono tworzyć” genialnemu podobno reżyserowi, który chciał kręcić filmy z natchnienia — bez scenariusza, bez wstępnej oceny i... bez ograniczeń finansowych. Ale także klucz do zrozumienia faktu, że chyba niesłuszne było oburzenie pana, którego opinie przytoczyłam na wstępie. Wygłosił ją bowiem w szatni eksperymentalnej „małej” sceny warszawskiego teatru.

S. GRABOWSKA

Dwie miniatury

Na otwarcie sezonu Teatr im. W. Siemaszkowej wystawił dwie jednoaktówki dwóch rosyjskich pisarzy — „Graczy” Mikołaja Gogola i „Niedźwiedzia” Antoniego Czechowa; obydwie reżyserował Stanisław Bieliński.

Po obejrzeniu tych dwóch miniatur, pierwsza z nich przejrzyście rysuje się, jako jeszcze jedna etiuda na temat chłestakowskie, druga jest cackiem dowcipu, pogodnym odpoczynkiem w komediowym piarstwie Czechowa, nabrzmiałym tak problematyką gorzką, że zawsze mu trzeba było walczyć z teatrem, by ów nie zapomniał, iż o komedię idzie. W „Niedźwiedziu” nic goryczy, nic z tragiczności, chyba że tę odrobinę leciutkiej kpiny bądź pobłażliwej ironijki na siłę chciałoby się wyolbrzymić, wypunktowywać na plan pierwszy. Od razu dodam, że rzecz dla mnie nie miałaby sensu — więc pozostaje mi pisać o czystej zabawie. Co też i robię.

A ubawiłam się szczerze i komuż, jeśli nie Kozieniowi śmiech najszczerzy zawdzięczam? Chłopisko było, wypisz, wymaluj, niedźwiedzio-wate, miedzianogłowe, rozsierdzone, rozpyskowane, anirusz pasujące do salonu, pełne temperamentu, krzykliwe i czułe na wdzięki niewieście, i podświadomie nie przekonane do tych przygód, jakie wyczyniało, bo w środku chłopiska trzepotało się serce gołębie zapewne. Rzadko ostatnio były okazje do oglądania Kozienia w roli przylegającej do jego naturalnej vis comica; rozsądzała ramy kadru, w którym Brecht zmieścił Giriego, milczała w „Mazepie”, świadomemu wyciszeniu uległa w „Irkuckiej historii”, gdzie Kozień był Sergiuszem, który, jak to powiedział Arbuzow, przyszedł prosto z życia — naturalnym i ciepłym. W „Niedźwiedziu” nie hamowany niczym temperament Kozienia rozhułał się swobodnie i myślę, że ten niewiele nad kwadrans trwający żywioł podzielał ożywczo na publiczność i na aktora, któremu ta publiczność nie skąpiła oklasków.

Humor Kozienia jest humorem ciepłym, ludzkim, niekontrolowanym, chce się rzec, że dysponuje nim aktor bez uciekania się do środków aktorskich. Toteż wszędzie tam, gdzie ciepło i rubasność jest



A. Czechow — „Niedźwiedź” — Urszula Nowacka i Zdzisław Kozień.

motorem postaci Kozień była niezastąpiony.

W „Niedźwiedziu” jest tempo, wartki dialog — a więc dwa elementy konieczne w dobrej zabawie. I jest oprócz Kozienia dwójka aktorów, którzy nutkę zabawy ładnie podchwycili: Urszula Nowacka dzielnie Kozieniowi partnerująca, niczym nie ustępująca mu temperamentem oraz Adam Fornal — komiczna niedolega w upudrowanej peruce.

A przede wszystkim jest w „Niedźwiedziu” cała uroda języka czehowskiego, pełnego finezji literackiej, celności dialogów, leciutkiej drwiny z bohaterów, cała gama dobrego smaku.

Odwrociłam porządek chronologiczny spektaklu i „Graczy” przyjdzie mi pomieścić dopiero teraz, bo też i główny zarzut postawić muszę, że jak na mój gust toczyli swe rozgrywki zbyt powoli i z przesadną precyzją. Jest w tej satyrze gogolowskiej, jak zwykle u Gogola zresztą, swoista galeria małych lotrzyków, którą przy niewielkich zabiegach można by umieścić obok demaskatorskiego „Rewizora”. Ale jeśli w „Rewizorze” pastwił się Gogol nad głupotą, niedoleństwem, nieuczciwością w najszerszej panoramie typów ludzkich — tu, w „Graczu” rzecz zawęża się wyłącznie do niebieskich ptaków, oszustów rozprawiających o tym rzemiośle, jako o zawodzie. Ta przypowieść o nieuczciwości, w której nie uświadczysz jednego bodaj sprawiedliwego na scenie zmienia się w przeświadczenie epizody i raczej nudną całość, ponieważ gros tych epizodów nakłada się na siebie, nuży podobieństwem sytuacji.

Jest w „Graczu” rola Stanisława Bielińskiego bardzo konsekwentnie poprowadzona. Pomieścił w niej Bieliński odrobinę dystansu z odrobiną ciepła, uczynił z postaci lotrzyka niemal doskonałego w działaniu, pogodnie wyrachowanego, ba, trochę flegmatyka. I nieco się bawiąc własnym świntuszeniem, przerasta w pojedynek czeredę godnych kompanów, czyhających nań zbiorowo i w

końcu zbiorowo czyniących zeń dudka.

Mimochodem, jakby w tym klimacie małych świństw i jednocześnie klimacie rozbawienia, który świństwa zamienia w figle, drzy podskórnie gogolowska pasja i moralistyka. Ostatnia scena, kiedy wyrafinowany i najpaskudniejszy w końcu z oszustów oskarża społeczeństwo o oszustwo — to jest ten pazur gogolowski, drażniący boleśnie, a zbyt krótko w przedstawieniu widocznego.

W świetnych epizodach wdziałam przede wszystkim dwóch aktorów: Jana Adamskiego, który obmyślił typ starego szlagona w najdrobniejszym szczególe dykcji i gestu oraz Tadeusza Czarnowskiego, który był tak obrzydliwy i tak śmieszny zrazem, iż świetnie się mieścił w tej lotrzykowskiej galerii.

Kostiumy i scenografię do „Niedźwiedzia” i „Graczy” przygotowali wspólnie Irena i Romuald Nowicy. W tonacji kolorystycznej scenografia zga dzała się z duchem obu miniatur; w „Graczu”, czy aż nie za mocno podkreślała obrzydliwość „środowniska”?

Wychodząc zaś z teatru, wspominamy „Trzy siostry”, myślimy sobie o „Wiśniowych sadach”, „Wujaszku Waniu” i zadajemy retoryczne pytanie ze z góry znaną entuzjastyczną odpowiedzią: co by też zrobił Kozień, gdyby zagrał Horodniczego?

K. ŚWIERCZEWSKA

Teatr im. W. Siemaszkowej: Mikołaj Gogol — „Gracze” i Antoni Czechow — „Niedźwiedź”. Reżyseria — Stanisław Bieliński. Asystent reżysera — Tadeusz Mroczek. Scenografia — Romuald Nowicki. Kostiumy — Irena Nowicka. „Gracze” — osoby: Stanisław Bieliński, Tadeusz Krasnołębski, Tadeusz Mroczek, Józef Jachowicz, Bogdan Kiziukiewicz, Jan Adamski, Józef Onyszkiewicz, Tadeusz Czarnowski, Zbigniew Zaręba. „Niedźwiedź” — osoby: Urszula Nowacka, Zdzisław Kozień, Adam Fornal. Premiera 20 października 1968 r.



M. Gogol — „Gracze” — Bogdan Kiziukiewicz, Józef Jachowicz, Stanisław Bieliński, Tadeusz Mroczek.

Rozmowy o pracy



Krystyna Świerczewska

Na zapleczu profesorów

BARNARDS

Sceneria? Proszę, oto ona: 58 tysięcy ludzi, en gros zajmujących się rolą, 9 ośrodków zdrowia, jedna przychodnia powiatowa, jedno pogotowie ratunkowe, szpital powiatowy odłożony ad calendas grecas, i 18 lekarzy. Dwa lata temu było ich 12 — wtedy mówiło się, że gorzej być nie może. Ową nagłą przysrota wyrównał mniej więcej średnią powiatową, toteż mówi się po prostu — nie jest źle. Powiatowa Przychodnia Obwodowa rezyduje w dwóch „zaadaptowanych” pomieszczeniach — gorzej być nie może; 7 i pół miliona złotych i budowa nowoczesnego obiektu — już zaklepana przez kogo i gdzie trzeba, już za rok się rozpoczynająca — może być lepiej, jeśli będzie szybko?

O zdrowie człowieka można walczyć tylko na dobrze zorganizowanym froncie, mając za sobą wolny od namietności sztab generalny. Partyzantka zawodzi.

Z 18 lekarzy — połowa pracuje na wsi — możnaż tu czynić jakieś wyróżnienia, przynajmniej w tej wiejskiej połowie? Najlepiej byłoby zebrać tę dziewiątkę na ogół młodą, czasem nawet bardzo młodą i pogadać z nimi o życiu — życiu ludzkim, które wzięli w swoje ręce i życiu własnym usytuowanym geograficznie w powiecie strzyżowskim, powiecie bardzo pięknym krajobrazowo. Bo i jakże wybór czynić między doktorem Lejawką z Lutczy, doktorem Niemczykiem z Wiśniowej czy dwoma doktorami z Frysztaka, kiedy o wszystkich słyszę w powiecie, że pracują jak należy, czasem w zupełnie niełatwej sytuacji, czasem ponad normę ludzkiego wysiłku? Jadę więc do Wiśniowej, widzę doktora Niemczyka i słyszę protest pa-

ejentki — jednej z wielu usadzonych w maciopkiej poczekalni, że zabieram czas. Więc szybko godzimy się z doktorem oboje, że nie pora na rozmowy; więc szybko pytam jak żyje tu zupełnie sam, w wynajętej kłitce półtora metra na metr i również szybko żegnamy się, bo baba szemrze za drzwiami. A na pożegnanie dostaję szczegółowy plan tygodnia, że we wtorki, czwartki, soboty — to go nie ma cały dzień, bo obsługuje dwa ośrodki, a w resztę dni powinien być po południu. Co bynajmniej nie oznacza, że będzie, bo ktoś tam za górą, za lasem może zachorować i też trzeba jechać.

Jadę więc do Frysztaka, komijnego miasta z siedmioma wiekami historii, które historia zdegradowała ponownie w wieś, rzuconą rozmachem malarskim niemal na wzgórze i swoją ulicą przecinającą to wzgórze zabawnie, urokliwie, zupełnie wyjątkowo. Coś koło tysiąca mieszkańców i te wszystkie wioski, które oglądam przez okno gabinetu lekarskiego tworzą ów rejon 10 tysięcy potencjalnych pacjentów. W Twierdzy widać niektóre chałupy zupełnie wyraźnie, ale już Lubla, pięć kilometrów od traktu położona, pięknie, zacisznie i na uboczu, zimną służy lekarzowi najstarszym środkiem lokomocji. Siada tedy na sanie i parę godzin wędruje przez te malowniczości, a choremu chłopcu wydaje się pewnie w tych paru godzinach, że serce mu chce uciec w góry, tak się wyrzywa, trzepocze, tak ciasno mu pod pierzyną, w niewietrzzonej izbie. I obojgu — lekarzowi na furmance oraz chłopcu w tej izbie godziny wloką się niczym droga do wieczności.

— Bo chłopci, proszę pani, wbrew powszechnemu przekonaniu chorują na nerwice coraz częściej.

Wchodzi taki i zaczyna od słów: panie doktorze — mam serce! Zdziwiony, że dało znać o sobie, ba, rozgniewany, że dało znać o sobie, niespokojny dlaczego jak już musi być — to trzeba je czuć. Jedna trzecia przypadków — to właśnie nerwice, przykre wobjawach, wywołane często kłótniami, plotkami, obmową, zatrucianiem życia przez sąsiadów, złym mężem, złe uczącym się dzieckiem, całą sferą obyczajowości i współżycia. Człowiek, badając ich, usiłując pomóc, dowiaduje się o życiu wsi więcej niż najzapaleńszy etnograf badający obyczaje. Jestem tu dopiero drugi rok, ale przecież nie ma takiej wsi w rejonie, której bym nie poznał, takiego pacjenta, który by umiał odejść w opisie dolegliwości od opisu najbliższego otoczenia.

Siedzi przede mną lekarz bardzo jeszcze młody, 29-letni, po Akademii Medycznej w Lublinie, po stażu w Ustrzykach; zgodziłem się oboje, że zbyt krótki ten jego życiorys, by się nim zajmować, że właściwie praca go dopiero napisze. W każdym razie zaczął się bez dramatu, bo dr Zdzisław Michalczyk nie ma za sobą marzeń i legend o zarobkach, mitów o karierze naukowej, tęsknot za wielkomięjskim gwarem; pozostawił w krośnieńskiej wsi rodziców, po studiach wrócił w Krośnieńskie tylko po żonę i wreszcie wybrał na stałe Frysztak.

— Może nie na całe życie, ale na pewno na najbliższe 10, 15 lat — mówi. Lubię wieś, sympatyczni są mi ci wszyscy ludzie, łatwiejszy jest mój start, mam piękne mieszkanie i... proszę popatrzeć jakie widoki za oknem! Chcę być z wyboru w Rzeszowskim, tak sobie założyłem, że tu wrócić, zrobiłem co się dało, by pozbyć się stypendium WRN w Lublinie i wymienić na podobne z WRN w Rzeszowie. Udało się — więc jestem. Jak żyję? — Po prostu pracuję od rana do wieczora, specjalizacją, którą robię w szpitalu w

Jaśle, na towarzystwo nie mam prawie wcale czasu, a jeśli go znajdę, otwieram drzwi apteki i gaworzymy z koleżanką też po lubelskiej AM, jak to było za naszych młodych lat...

Tym mnie pan Zdzisław szczerze rozśmieszył i właściwie cóż więcej o jego sytuacji pytać, gdy widzę człowieka ani zbuntowanego, ani zgorzkniałego, pełnego w zamian pogodnego optymizmu oraz słuszności z dokonanego wyboru.

Profesor mówi: „Pamiętajcie, moi drodzy, że każdy dobry uczynek musi spotkać zasłużoną karę”. Czyż później w praktyce lekarskiej nie zakosztowałem nieraz gorczy piolunu od tych ludzi, którym okazałem serce?

— Problemy? Gigantyczne. Przede wszystkim ten jeden — odpowiedzialność z nikim nie dzielona. Traktuję ten czas pracy we Frysztaku jak chrzest bojowy i marzę, by skończyć wreszcie specjalizację z interny, konieczną tu właśnie. Staż odbywałem w pediatrii, sądziłem, wtedy nawet, że przy niej zostaną, życie, miejscowość, w której jestem poddyktowały co innego. Z dziećmi i tak dają sobie jakoś radę, te dwa lata stażu błogosławiąc, wobec starszych czym dysponuje? Praktycznie — słuchawką, aparatem do mierzenia ciśnienia i... nosem. Tu właśnie rysuje się zasadnicza różnica między pracą w mieście i na wsi — w mieście sztab specjalistów zebranych w jednym budynku, zaplecze do analiz laboratoryjnych, rentgen; u mnie — możliwość skierowania chorego do specjalisty. A jeżeli siedzi u mnie chłop z bólem ucha w poniedziałek, zaś laryngolog w Strzyżowie ordynuje tylko w piątek, to jakże w to ucho nie zajrzeć i nie próbować coś zaradzić doraźnie?

Profesor powiedział: „Na stu lekarzy dziewięćdziesięciu nie szkodzi, ale i nie leczy. Dziewięć szkodzi. Jeden leczy. Pamiętajcie, abyscie byli zawsze między tymi, którzy stanowią jeden procent tej statystyki”.

Dotknął pan przypadkiem drugiego istotnego problemu: a więc lekarz wiejski to dalej pogardzany przez fachowców omnibus? Jakże to godzić w okresie fanatycznego wprost przekonania o dobrodziejstwie wąskich specjalizacji, w okresie, gdy o uznanej jako specjalność internie dość często słyszeć się dają opinie jako negatywnym wszytkoizmie? Widzę tu sprzeczność, która musi rodzić powikłania?

— I rodzi je. Sprzeczność istnieje bowiem między nauką a życiem. Jestem zdany na siebie — muszę być omnibusem i dopóty, dopóki w ośrodkach zdrowia na wsi nie będzie zaplecza technicznego, tego nieodzownego aliansu techniki z medycyną, dopóty nie zestawię nogi złamanej i będę odsyłał chłopca kilkanaście kilometrów dalej do specjalisty, choć mógłbym to zrobić, gdybym dysponował rentgenem i po prostu wiedział co w środku tej nogi się dzieje. Toteż zawsze, nawet przy zwykłym zwichnięciu czai się we mnie strach, żeby nie było przypadkiem pęknięcia kości, czegoś groźniejszego, czego nie sposób stwierdzić wizualnie. Omnibus istnieje więc z konieczności dyktowanej przez życie.

Ostatecznie od Hipokratesa dzieli nas niewiele czasu w porównaniu z całym okresem prehistorii, kiedy istniał już człowiek — i radził sobie, bo musiał.

— A czy nie rodzi się przypadkiem strach natury o wiele poważniejszej; wtórnego analfabetyzmu medycznego? Przykre to pytanie, ale także dyktuje je praktyka.

— Przykre, mimo to zgodzę się z panią, że odżywa się chyba w każdym ten lek przed skapaniem i każdy się broni, na ile go stać, w moim przypadku bronię się tymi kilkoma godzinami wolontariatu specjalizacji, za który grosza nie dostaje, a czas pochłania mi kolosalny. Rekompensatę jedną jednak widzę tego systemu omnibusowego — nie ginie z oczu człowiek chory. Bo idzie też i o to, co wąskie specjalizacje gubią często w drodze do maksymalnej wiedzy z jednej dziedziny, by lekarz był lekarzem i dostrzegł ów chory organ na tle całości organizmu, wraz z jego psy-

chiką, a nie odwoływał swoich koncepcji do badań wypadkowych.

— Przecież powiadają ciż sami lekarze, że połowa wyleczenia chorego — to jego stan psychiczny. Myślę, że dobrze byłoby pomówić o psychice środowiska na pewno trudniejszego od miejskiego, gdzie pewne przesady jeszcze drzemają, gdzie higiena bywa pojęciem nieznanym i gdzie dieta jest po to, by jej nie stosować, a lekarstwo nie zawsze po to, by je zażywać?

— O, proszę pani, wcale nie wierzę w to, że połowa moich pacjentów przynajmniej stosuje się do moich wskazań. Chłop chce leczyć się szybko. Ufność, na jaką muszę solidnie zapracować i gestem, i intonacją, często zwykłym powtarzaniem po kilka razy zaleceń, często nawet zapisaniem ich na kartce, ta ufność zdarza się rzadko, ale jeśli jej się człowiek doczeka — wdzięczność i wiara takiego pacjenta są właśnie psychiczną stroną leczenia. I chociaż nieraz, nie jestem wszak święty polski, nerwy odmawiają mi posłuszeństwa, muszę wysłuchać opowieści o prababce, diagnoz gotowych, opracowanych przez pacjenta, który nie wiadomo wtedy po co przyszedł mnie się radzić, skoro tyle wie o swojej chorobie, że sam mógłby pisać receptę. A przychodzą i tacy, co złośliwie potrząsają fiołką, w której brak dwu pastylek, wykrzykują: a mówił pan doktor, że pomoże i nic nie pomogło! Niemal się cieczą, że nie pomogło! Na szczęście nie ma ich wielu, tych złośliwych; za to jest zbyt wielu niecierpliwych. Zmieniają lekarza, rano idą do kolegi, po południu wracają do mnie, a za tydzień wędrują do innego ośrodka. Po prostu szybko szukają zdrowia.

Lekarz chcąc nie chcąc musi być także aktorem. A czasem trzeba tylko wyrzucić pierzynę.

A jak się odżywiają, to na ogół też wiemy: węglowodany w miejsce białka. Musi być kasza, mąka, cukier — nie musi mięso. Powiadają — z mięsa się tyje, a znać czy to chyba jednak, że wieprz długo rośnie i szkoda go do garnka.

O wsi można nieskończenie i nieskończenie można o medycynie i lekarzach. Nie znam bardziej pasjonującej lektury nad „Pamiętniki lekarzy”, z których parę cytatów tu pomieszczałam, bo po prostu nie tracą aktualności i napisali je sami lekarze, którzy zapominają może Władysław, bo życie odebrało sens słowom o samotnym działaniu, zatrzymując tylko tę pasję judymowską do pracy od podstaw. Rosną liczebnie i są w tej chwili pięćdziesięciotysięczną armią; z 13 tysięcy w 1939 roku, a 7 tysięcy w dniu zakończenia wojny!

Autorytet dla każdego lekarza, Władysław Biegański napisał, że medycyna urodziła się w niedoli, a za rodziców chrzestnych miała współczucie i miłosierdzie, musi więc przetrwać inne zawody. Sformułowanie brzmi dziś nieco staroświecko — sens jego pozostał nietknięty czasem. Pozostały także stare przyzwyczajenia, że pacjent lubi płacić, że zachował wiarę w poprawę stanu zdrowia stojącą w prostym stosunku do kosztów kuracji, że cenę ten lek, który kosztuje i ten, który działa szybko. Pozostała jeszcze konieczność kształcenia lekarza — omnibus; nie znaczy to jednak, lekarza ograniczonego, bez inteligencji, bez ciągłej walki o jakość stanu posiadania swego umysłu. Toteż nie dziwi się, sposobiąc się do pożegnania dr Michalczyka, zakochanego w swojej frysztańskiej metropolii, że wypływa nie spodziewanie temat o prof. Barnardzie i przeszczepach serca i że po raz pierwszy dźwięczy nutka zawodu w jego głosie. Bo tu polska wieś spokojna. Bo w świecie rewolucji chirurgii. Bo w Polsce, przecież i jemu dostępnej, są nazwiska — autorytety naukowe. Bo może, bo gdyby, bo kiedyś... Kiedyś, bardzo dawno i upycham te buty głęboko. Życie i tak ma swój sens, proszę pani, a ja wybrałem najładniejszą!

Odetchnęłam.

— A swoją drogą, kiedy ja to ostatni raz słyszałam? Kiedyś. Nie za często.

Krzysztof Ruszel

Nad ludową kulturą wsi podprzeszowskiej

Szybkie tempo przeobrażeń kultury ludowej, w wyniku których zanika wiele jej elementów, spowodowało, że zarówno tradycyjne formy gospodarki jak i budownictwa nie mogą być w pełni dokumentowane we współczesnych badaniach. Niewiele zachowało się z tradycyjnego rolnictwa. Najnowsze osiągnięcia naukowe tej starej formy gospodarki są upowszechniane poprzez organizowane kursy zawodowe, szkoły rolnicze, a ostatnio coraz częściej przy pomocy środków masowego przekazu, jak prasa, radio i telewizja, wypierając ludową wiedzę rolniczą, przekazywaną często w stanie niezmiennym z pokolenia na pokolenie, drogą transmisji ustnej.

Rodzaj transmisji sprawił, że ludowa wiedza rolnicza charakteryzowała się dużą ilością wierszowanych powieści i przysłów, ułatwiających zapamiętanie kolejności podstawowych zabiegów uprawowych, np. „Na św. Józefa przez pole brudza” (wcześnie wiosenną orkę należało rozpocząć około 19 marca); przeprowadzi meteorologicznych, np. „Jak Barłomiej do południa, taka jesień do grudnia” itp.

Resztki tradycyjnej wiedzy rolniczej potrafią przypomnieć tylko starzy gospodarze. Pamiętają oni np. jak szerokość miały zagony orane przez ojców i dziadków — w okolicach Rzeszowa, jeszcze po I wojnie światowej zagony miały 6-8 skib, jakich używano narzędzi rolniczych, co uprawiano itp. Tradycyjna wiedza rolnicza winna zostać w pełni udokumentowana, by można było należycie ocenić rozwój współczesnego rolnictwa, zapewniając coraz to wyższe plony.

Inne sposoby gospodarowania, podziemne w stosunku do rolnictwa,

takie jak zbieractwo, łowiectwo, czy rybactwo, były w małym stopniu uwzględnione w tegorocznych badaniach. Główną przyczyną tego był fakt, że badania nie objęły terenów, na których te pierwotne formy gospodarki odgrywały w przeszłości znaczną rolę, a więc obszary Puszcz Sandomierskiej, w widłach Wisły i Sanu. Znacznie większy nacisk położono natomiast na dokumentację budownictwa ludowego, zarówno mieszkaniowego, jak i gospodarczego.

Nawet postronny obserwator nie zainteresowany w śledzeniu przemian oblicza wsi polskiej, musi zwrócić uwagę na zmianę jej swojego koloru, będącą zewnętrznym przejawem wypierania tradycyjnego budownictwa drewnianego przez budownictwo z materiałów trwałych, jak cegła, pustaki itp. Oczywiście nie wszystkie wsie poszczycić się mogą jednakowo wysokim procentem domów murowanych, co uzależnione jest od położenia w pobliżu ośrodków przemysłowych, gdzie można znaleźć dodatkowy zarobek, racjonalniejszej gospodarki rolnej i wielu jeszcze innych czynników wpływających na wzrost założeń wsi. Szybkie tempo przemian stwarza niebezpieczeństwo, że zagina nie zarejestrowane dzieła ludowych cieśli, pełnych inwencji w rozwiązywaniu wielu złożonych problemów konstrukcyjnych. Doskonale przykładem są tu chałupy nazywane przez naukowców przysypowymi o dachu spoczywającym na słupach przysięsieniach, odciążając tym samym żrąb, co powoduje znaczne zwiększenie trwałości i długowieczności budowli.

Budownictwo tego rodzaju, powszechne w okolicach Przeworska, wy-

stępujące ponadto w pobliżu Przemyśla, zostało stwierdzone w tegorocznych badaniach w Cierpiszu Górnym, pow. Łańcut i Woli Rafałowskiej, pow. Rzeszów. Inny ciekawy rodzaj budownictwa, tym razem gospodarczego reprezentują na terenach objętych badaniami, stodoły wąskofrontowe, a więc posiadające przelotowe wrota umieszczone w węższej szczytowej ścianie budynku. Powszechniejszą formą tych budynków na obszarze Polski są stodoły szerkofrontowe, co sprawia, że inny rodzaj musi budzić zainteresowanie, zmuszać do zastanowienia się, czy nie mamy tu przypadkiem do czynienia ze zjawiskiem starym, przetrwałym jedynie na terenach o bardziej zachowawczej kulturze. Z obszaru pozapolskiego stodoły wąskofrontowe znane są m. in. z terenu Słowacji i Moraw.

Ostatnie badania pozwoliły ustalić, że stodoły wąskofrontowe występują w Dylińcu i Futomiu, pow. Rzeszów, Jaworniku Niebyleckim i Pstragowej, pow. Strzyżów.

Dalsze badania nad budownictwem, rozszerzają niewątpliwie obszar występowania stodoły tego rodzaju i pozwolą znaleźć odpowiedź na irracjonalne pytanie dotyczące ich genu. Wyjaśnienie genu jakiegoś typu budownictwa jest jednym z możliwych do osiągnięcia rezultatów badawczych, ponadto zaś architektura ludowa może kierować uwagę badacza na stronę estetyczną poszczególnych budynków, czy też zagród, wyrażającą się w pełni harmonijnych proporcjach między widoczną częścią żrębu, a dachem, rytmice schodkowych strzech słomianych, czy wreszcie zdobniczym żrębem, wykonanych wapnem bądź też kolorowymi glinkami i stanowiącymi przedmiot dumy niejednej gospodyni wiejskiej.

Malowanie żrębu nie zawsze miało do spełnienia li tylko funkcję estetyczną. Niekiedy wykonane wapnem „paki”, umieszczone symetrycznie na surowym żrębie chałupy, tworzące obramienia drzwi i okien lub inne swoiste kompozycje miały wskazywać, że w tym właśnie domu jest panna na wydaniu. Często się zdarza, że malatury te tracąc swoją pierwotną funkcję przetrwały na ścianach chałup do chwili obecnej. Szczególnie pięknie oglądać możemy w Nosówce, pow. Rzeszów, oraz Godowej i Zyznowie, pow. Strzyżów.

Kilka poruszonych tu problemów nie wyczerpuje pełnego zestawu zagadnień uwzględnionych w badaniach 1968 r. Pełne ich odbicie znajdzie się w opracowaniach materiałów terenowych.

Teresa Szetela

Czy sztuka ludowa zaginie?

Projekt przeprowadzenia badań etnograficznych w najbliższej okolicy Rzeszowa przyjęty został przez ich uczestników z zapałem i entuzjazmem. Etnograficznie teren ten uznany był od dawna za bardzo bogaty, a koleje zaś bliska rozbudowywanego się miasta wojewódzkiego z góry zakładała przypuszczenie o znacznym jego wpływie na charakter przemian wsi podprzeszowskiej.

Istotnie, na żadnym z pozostałych obszarów województwa rzeszowskiego nie występował tak mocno proces gwałtownej niwelacji tradycyjnej kultury ludowej wobec postępujących zmian natury społecznej i gospodarczej oraz kształtowania się nowego modelu wsi. Dzieje się to do tego stopnia, że zachodzi pytanie, czy w ogóle możemy mówić o współczesnej kulturze i ludowości — rozumiejąc przez pojęcie „ludowość” cały bagaż dziedzictwa kulturowego i kulturowej odrębności — czy po prostu o współczesnej kulturze wsi.

Szczególnie wyraziście problem ten występuje w zakresie badań nad sztuką. Poszukiwanie współczesnych przejawów sztuki ludowej daje na ogół wynik negatywny. Nie znaczy to, że nie znajdujemy na wsi żadnych jej przejawów. Chodzi o to, że ta współczesna nie mieści się w ogólnie przyjętych dla sztuki ludowej kryteriach. Nie może być mowy na przykład o samorodnie rozwijających się talentach; zdolności jednostki, które mogłyby tworzyć w okresie wiejskiej społeczności odznaczają się wsi, a nawet jeśli tu pozostać otrzymują w szkole pewien zasób wiadomości również z dziedziny plastyki. Nie bez wpływu pozostają również masowe środki przekazu — prasa o bogatej szacie ilustracyjnej, radio, telewizja, film.

Na tradycyjne wyroby ludowe, do jakich jesteśmy przyzwyczajeni, nie ma ponadto zapotrzebowania społecznego. Jeśli urzadza się dom, to na mode współczesną, powszechnie przyjętą tak w mieście jak i na wsi, a więc meble na wysoki polski, modne dywany nakielca, reprodukcje obrazów. Wypadki uprawiania plastyki na własny użytek zdarzają się, ale bardzo rzadko. Notujemy je wówczas, gdy różne okoliczności przeszkodziły jednostkom o uzdolnieniu artystycznym w zdobywaniu wykształcenia lub obiektywne warunki nie pozwalają na uczestniczenie w szerszym życiu społecznym wsi.

W jakim kierunku idą zainteresowania artystyczne tych jednostek i jak rozwijają się ich uzdolnienia? Kobiety, obrabiacie się w waskim na ogół kręgu rodzinnym — dom, wykonują przeróżne drobiazgi, którymi przystroją mieszkanie. Są to zwykle malowane dywaniki na ścia-

nę, kwiaty z bibuły, wycinanki papierowe na okna, niekiedy pajaki na powale.

Rzadziej trafia się ktoś, kto uprawia „czystą” formę sztuki — malarstwo lub rzeźbę. Wszelkie umiejętności wychodzące daleko poza stolarstwo lub cieślarstwo znajdują upust w innych, bardziej intratnych zajęciach często w pracy zawodowej znajdującej poza wsią, stąd wypływa brak czasu na „dłubanie”, nie przynosząca reszta pożytku. Próby malarstwa noszą najczęściej znamie sztuki amatorskiej; zamierzenia są przy tym bardzo śmiałe. Chodzi o dorównanie już to w samym temacie, już to założeniach kompozycyjnych „mistrzom”, których początkują i samotny malarz zna z przypadkowych reprodukcji spotykanych po domach. Natrafia on przy tym na ogromne trudności techniczne, które narzuca przecież technika malowania olejnego na płótnie. Oprowadzanie tej techniki staje się jego duża zdobycza, nie pozostająca bez wpływu na samą inwencję twórczą oraz uzyskany w obrazie efekt.

Jeśli tradycyjne formy sztuki ludowej utrzymują się, to raczej w tych dziedzinach, które związane są z obrzędami i zwyczajami dorocznymi, silnie stosunkowo do wsi zakorzenionymi. W licznych wsiach podprzeszowskich nadal piecze się na wesołe szyszkę z ciasta. I kiedy dawniej były one smakowitymi, którymi lączyły zbieraczy dzieł w momencie przejeżdżania fur weselnych, to teraz są one jakby upominkiem dla gości weselnych i pamiątką zabierań przez nich do domów, które wystawiają się w kredensie razem z wielkanocnymi pisanekami.

Domaga się sfilmowania ciekawego zwyczaj „drobów”, będący dalekim echem wierszeń w zapewnienie przez ich wejście do domu dostatkowi na cały nadchodzący rok. Żywa kukła musiała być tak tusta, chłopak tak grubo opakowany słomą, że ledwo w drzwi się zmieścił. Dziś zwyczaj ten przetrwał w rzeczywistości w zimowa zabawę dla dzieci.

W wyniku przeprowadzonych badań i poczynionych spostrzeżeń, nasuwa się pewne wnioski. Po pierwsze — wnioski o pałacej potrzebie dokumentowania tych przejawów sztuki ludowej, które bezpowrotnie miewy, a więc stroju ludowego, rzeźby, snycerki i wielu innych. Po drugie — o potrzebie rejestrowania, jeśli już nie wartościowania, bo to mogłoby wyjść na niekorzyść — współczesnych przejawów sztuki wsi. I wreszcie — o włączenie istniejących lub tkwiących jeszcze w pamięci starszego pokolenia dawnych form sztuki ludowej w takie państwowe akcje kulturalne, które sztuce ludową przybliżają szerszemu ogółowi społeczeństwa.

Romana Uryniak

Migutki, mocki, czarownice...

Okoliczne wsie Rzeszowa są terenem bogatym w dawne tradycje, dającym obszerny i ciekawy materiał dla badań etnograficznych.

Nowe oblicze wsi polskiej, zmiany gospodarczo - społeczne, rozwój oświaty i kultury sprzyja zanikaniu różnych zwyczajów i przesądów. Do dziś jednak przechowało się wiele wyobrażeń będących pozostałościami dawnych, bogatych wierzeń ludowych, stanowiących irracjonalną interpretację niezrozumiałych zjawisk świata, które przedstawiały cały kraj zjaw, demonów dobrych i złych otaczających człowieka.

Do bezosobowych zjawisk demologicznych mających bardzo powszechny i szeroki zasięg na terenie rzeszowskiej wsi należą tzw. „błędne ognie”, które w poszczególnych wsiach posiadają lokalne nazwy: migutki, mierniki lub niziojery. Według relacji mieszkańców, są to pokutujące dusze niesprawiedliwych i nieniąderów, którzy źle odmierzali chłopskie grunty. Światłeczko takie „wielgie, jak przetak” toczyło się z wolna, nie czyniąc nikomu zła, cichą pobrzkując łączkami.

Wśród ludu krąży jeszcze wiele opowiadań o strachach. Według wierzeń, duchy zmarłych często wychodzą z grobów i błędzą po świecie. Dają one znać o swojej obecności w mieszkaniu trzaskaniem drzwi i okien, spadaniem obrazów ze ścian itp. Często rozmawiają z żywymi i domagają się złożenia określonej ofiary za ich duszę.

Z demonów towarzyszących człowiekowi, najczęściej wymienia się popularną zmorę, która w okolicach Rzeszowa nosi nazwę gnotka, gnieducha albo mocka. Wyobrażano go sobie jako coś niewidzialnego, duszającego we śnie ludzi leżących na znak. Wierzono, że zabranie mu czarownej zapewczki, którą posiadał, mogło uczynić zdobywcę bogatym.

Powszechnie znanym demonem jest również złośliwa mamuna, posiadająca moc odbierania matkom dzieci, które zamieniała na swoje, brzydkie i niezdolne.

Śmierć w wyobrażeniach ludu uchodzi za zjawę, którą należy uobojnie omijać, czyniąc znaki krzy-

Franciszek Kotula

Badania terenowe

W r. 1966 minęło 10-lecie akcji tzw. „Obóz naukowy - badania terenowe”, zespolowych a równocześnie stacjonarnych. W tym czasie zorganizowano 15 takich „obozów”. Tego rodzaju przedsięwzięcia były rzeczywicie kosztowne — nieraz brało udział nawet ponad 200 osób — ale równocześnie bardzo owocne. A oto pokrótce bardzo lapidarnie ich charakterystyka.

Rzeszowskie — w pojęciu kulturowo polskich regionów etnograficznych — nie zostało gruntownie udokumentowane przez wielkich badaczy w II połowie XIX w. na początku XX w. Kiedy Muzeum w Rzeszowie, jako muzeum okręgowe stanęło na odpowiednim poziomie organizacyjnym, a zwłaszcza kadrowym powstała myśl, aby to wszystko, co jeszcze pozostało z tradycji kultury ludowej — a będąc materiałem dla stworzenia kultury narodowej — udokumentować w różnorodny sposób. I możliwe najszlachetniejszy. Aby ten proces przyspieszyć, ze względu na niwelację działalności różnych czynników, należało robotę, jaką wykonywali dawniej badacze w pojedynkę, rozłożyć równocześnie na większą ilość osób. Inaczej, zastosować nowoczesny podział pracy. I tu leży źródło pomysłu badań kompleksowych. Poszczególnymi aspektami kultury ludowej mieli się zająć odpowiednio przygotowani ludzie, czyli „fachowcy”. Do badań ściśle naukowych miała dojść dokumentacja techniczna, więc rysunek, akwarela, fotografia. O nagraniach i filmowaniu na początku nie można było nawet marzyć.

Ważną rolę w pomysłach urzędzenia badań zespolowych — równocześnie i stacjonarnych, ze stałym miejscem pobytu w terenie — było założenie, że dla badaczy nad kulturą ludową „źródłem mądrości” powinien być teren. A zwłaszcza ludzie, związani z nim od stuleci. Tego rodzaju ludzi należało traktować, jako swoiste „archiwum”, archiwum „ludowe”, więc tradycję oraz pamięć o wydarzeniach historycznych — a które tzw. źródła klasyczne, archiwalne, nie zawsze przekazują — o dziejach terenu, ciekawych ludziach i ich obyczajach, o minionych kultach, o mitach, zwyczajach, kulturze materialnej i społecznej, folklorze, plastyce... itp., prawie że bez końca. I też luk w wiedzy historycznej można zapełnić badaniami terenowymi!

I wreszcie: częste i bezpośrednie kontakty muzealnych pracowników naukowych pozwalają im śledzić przemiany i prawa działające w kulturze ludowej, a nie tylko jej formy statyczną, kiedyś przez ko-

gość utraconą. Kultura ludowa, jak i kultura w ogóle, ulega nieustannie zmianom, dzięki prawom natury rządzącym. I tutaj etnografia ząębia się z socjologią.

W roku 1968 działał już nie „obóz”, ale jedynie „badania zespolowe”. Zespół liczył zaledwie 9 osób, nie było w terenie „bazy”, miejscem wypadów w teren był sam Rzeszów. Siłą faktu badania nie mogły odbywać się zbyt daleko, ale w pobliskich wsiach, w czasie 4-10 VIII.

Ze względu na szczupłość zespołu uczestników badań — zaledwie 6 naukowych — badaniami objęto niewielką ilość aspektów kulturowych. Badano: plastykę i strój — mgr Teresa Szetela, typy budownictwa ludowego — mgr Krzysztof Ruszel, literaturę ludową i zjawiska językowe — mgr Władysław Miodunka z U. J., magię, demonologię i lechnictwo ludowe — mgr Roman Uryniak z WSP Rzeszów, zwyczaj doroczne — Wanda Daszkowska, pewien czas obrzędy rodzinne badała mgr Ewa Waszkowska, rysunki wykonywały: Anna Trzyna i Barbara Sierżega. Kierownikiem naukowym i organizacyjnym byłem ja. Zajmowałem się również współczesnymi zjawiskami kulturowymi, jako członek Komisji Kultury WRN w Rzeszowie.

Badania zostały przeprowadzone w kilku powiatach: rzeszowskim — Bratkowice, Wólka Podleśna, Wola Rafałowska, Chmielnik, Dylińcu, Zabierzów, Nosówka; w łańcutkim — Cierpisz Dolny i Górny; strzyżowski — Jawornik Niebylecki, Zyznow, Pstragowa; ropczyckim — Gnojnica, Zagórzyc. Jak tedy widać z powyższego wykazu, badania miały raczej charakter penetrujący i zwiadowczy. Chodziło m. in. o przekonanie się, gdzie, jak dawno porzucano tradycyjną kulturę ludową na rzecz nowej, zurbanizowanej, gdzie się ją kultywuje w mniejszym lub większym zakresie.

Penetracja została przeprowadzona w trzech a być może i w czterech regionach etnograficznych. Bowiem chodziło również o zasięg — chociażby w przybliżeniu — terenu Rzeszowskich sąsiadujących z nimi Podgórzem oraz Lasowickim. Dalej, czy w/w regiony wytworzyły sobie charakterystyczne typy budownictwa drewnianego, tak mieszkalnego, jak i gospodarczego, zewnętrzną cechę regionalizmu, czy zachowały się jeszcze wierzien i zabiegi magiczne, jak stał problem plastyki ludowej itd. Szczegółowe odpowiedzi na te zagadnienia dadzą pisemne sprawozdania, do czego są zobowiązani uczestnicy badań. Skróty wyników znajdzie czytelnik poniżej.

„Zbierem pożytek, ale nie wszystkim”. Często ukazują się one w obrze pod postacią żaby i tam „szkodzą” krowom. W innych wsiach natomiast żaba w objęciu wroży szczęście i pomyślność w gospodarstwie (Dylińcu).

W pamięci starych ludzi zachowało się wiele sposobów chroniących krowy przed skutkami zezarowania. Po zachodzie słońca nie wolno sprzedać nikomu mleka ani masła. W okławę Bożego Ciąla należy ułamać znajdując się w kościele gałki grabin i wetknąć je do żłobu. Wielce skutecznym sposobem na czarownice jest również gotowanie w nowym, nie używanym garnku zepsutego mleka z dodatkiem szpilek. Czarownica dostaje wtedy takich „kolek”, że musi zjawić się w gospodarstwie i „odczyścić” rzucyony urok. Znać sa jeszcze inne sposoby na zwabienie i rozpoznanie tej, co trzyma z diablem. W tym celu wbiła się w próg domu świder, a powstały otwór zalewa miodem, co daje pożądany skutek, albo pali się w wigile Bożego Narodzenia trzynaście niedopałków drewna, odkładających codziennie po jednym pocałującym rd dnia św. Łucji. Niekiedy zabezpieczeniem przed niecznymi praktykami czarownicy jest wrzucenie wbite w kretówkę, w ostateczności zaś kupienie kozy, która kładąc się w obrze obok krowy zakreśla kopytkiem znak krzyża, oddalając przez to złe moce. Do dziś w pamięci ludzi niezwykle żywa jest postać rzekomej czarownicy z Biedowej, posiadającej tajemnicę „siarczyste pudło”, którym „kurczyła” swoje bydło, by mieć dużo mleka. W tym celu również hodowała węże.

Należy stwierdzić, że dawny świat wierzeń demologicznych przestał być dla młodszych pokoleń wsi istotny, natomiast głęboko zakorzeniony jest jeszcze w umysłach starszych ludzi, wspólnie nierzadko z poglądami nowymi, racjonalnymi.

☆

Szczupłe ramy artykułu pozwoliły jedynie na bardzo pobieżne potraktowanie zagadnienia.



Fot. J. MENDYCHOWSKI

Narodziny światopoglądu

Różne są sposoby badania przemian światopoglądowych zachodzących w okresie powojennym na wsi polskiej. Socjologowie katoliccy, m. in. z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, posługują się zawierającymi liczne pytania ankietami, które rozpraszają w parafiach wiejskich za pośrednictwem proboszczów. Badają również frekwencję wiernych na nabożeństwach i ich uczestnictwo w różnych praktykach religijnych. Socjologowie marksistowskie stosują także metodę ankietową i układają statystyki ilustrujące wskaźniki udziału ludności w praktykach kulturowych, lecz nie ograniczają się wyłącznie do tych sposobów badawczych. Analizują na przykład — w celu zweryfikowania badań ankietowych — pamiętniki młodzieży wiejskiej.

Inicjatywę systematycznego zbierania pamiętników podjęty wspólnie w 1962 roku Polska Akademia Nauk, Związek Młodzieży Wiejskiej i Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. Pamiętników zebrano sporo i zgromadzone je w Zakładzie Badań Rejonów Uprzemysłowionych PAN. Publikacje pamiętników prowadzone są pod redakcją wybitnego socjologa, prof. J. Chałasińskiego, w serii wydawniczej zatytułowanej „Młode pokolenie wsi Polskiej Ludowej”. Ukazały się dotychczas „Awans pokolenia” (1964), „Tu jest mój dom” (1965 r.), „W poszukiwaniu drogi” (1966 r.), „Od chłopca do rolnika” (1967 r.). Kolejny zbiór pamiętników pt. „Rodzina i gospodarstwo” znajduje się w druku.

Trud analizy postaw światopoglądowych zaprezentowanych w pamiętnikach podjął ostatnio socjolog Bronisław Gołębiowski, koncentrując się w szczególności na tym, jaki wpływ na przemiany w świadomości młodzieży wiejskiej wywiera migracja do miast, awans poprzez szkoły, masowe środki przekazu, miejski styl obyczajowości i kultury na co dzień. Z rezultatami analizy B. Gołębiowski zapoznał czytelników w ostatnim numerze czasopisma „Człowiek i światopogląd” (nr 4/1968).

Charakterystyczne, że wnioski ogólne, wynikające z analizy, są zbliżone z wnioskami, do jakich doszli socjologowie tak katoliccy, jak i marksistowskie, stosujący metodę ankietową i statystyczną — a mianowicie, że przeobrażenia światopoglądowe i obyczajowe młodzieży wiejskiej w kierunku laicyzacji rozwijają się w ostatnich latach bardzo szybko.

Autor stwierdza w oparciu o zebrany materiał analityczny, że przewartościowanie poglądów i postaw w duchu świeckim następuje wśród młodych ludzi głównie w sferze codziennych, życiowych spraw moralno-obyczajowych i kultury życia codziennego. Rządziej natomiast droga do światopoglądu laickiego zapoczątkowywana jest rozważaniami o charakterze filozoficzno-dogmatycznym.

Zjawiskiem powszechnym na wsi, świadczącym o pewnym kryzysie religijności młodzieży, jest — według spostrzeżeń autora — redukcja praktyk religijnych do niezbędnego minimum, którą muszą zachować ze względu na opinię i nacisk rodziny. Wciąż słabnące zaangażowanie religijne młodzieży

wiejskiej jest rekompensowane pogonią za nowinkami obyczajowo-kulturalnymi o wybitnie świeckim charakterze. Nierzadko jest to oceniane przez bigoteryjne grupy wsi i przez księży jako „grzeszne” i „bezbożne”. W rodzinach kryzys ten ujawnia się w seriach konfliktów i utarczek słownych między synami i córkami a rodzicami. Bywa, że starsi posługują się w takich sytuacjach straszakiem „bezbożności”, młodzi zaś „bezbożnicy” dowodzą racjonalności nowych potrzeb i innowacji.

„Jądro fermentu laicyzacyjnego — stwierdza B. Gołębiowski — widocznego współcześnie wśród młodzieży wiejskiej, upatruję w kryzysie tradycyjnego rodzinnego gospodarstwa chłopskiego oraz w przemianie i wygaszaniu odrębnej kultury i obyczajowości wiejskiej, zwanej kulturą ludową, środowiskową. Z drugiej zaś strony — w oddziaływaniu nowych treści, wzorów osobowych, norm obyczajowych, a także technik przekazu wiadomości i kultury, które w zasadzie napływają do wsi z miast mają charakter racjonalny, świecki, akcentujący nowe cele życiowe, potrzeby, prawa i obowiązki, nie motywowane wartościami pozaziemskimi, pozaludzkimi. Zderzenie się i wzajemne przenikanie tych dwóch typów kultur decyduje w zasadzie o charakterze i przebiegu wchodzących w skład tego procesu objawów zewnętrznych, określonych zachowań i ewolucji postaw światopoglądowych”.

Młodzi coraz chętniej i powszechniej akceptują zasady świeckiej moralności i obyczajowości — nieskrepowane religijnymi czy zwyczajowo-przesądowymi nakazami. Coraz wyraźniej w młodym pokoleniu wsi ujawnia się dążenie, aby np. kwestie związane z pożyciem seksualnym, miłością w ogóle, macierzyństwem, układem życia rodzinnego — oswończyć spod kurateli plebanii i dewotek.

Zdaniem autora analizy główną rolę odgrywają tutaj względy praktyczne.

W zakończeniu B. Gołębiowski pisze, że w zjawisku tym tkwi klucz do zapoczątkowania wychowania moralnego młodego pokolenia wsi.

„Od spraw obyczajowych, zachowania się na co dzień trzeba zaczynać pracę wychowawczą w duchu świeckiej moralności wśród młodzieży wiejskiej. By stopniowo poszerzać ją o bardziej złożone zagadnienia światopoglądowe. Tymczasem często brak na wsi działalności instytucji i organizacji, które mogłyby na szerskim froncie podjąć takową problematykę. Nowa obyczajowość tworzy się zbyt żywiołowo przede wszystkim przez mniej lub bardziej powierzchowne, zewnętrzne naśladowanie wzorów miejskich”.

Jest to uwaga autora niewątpliwie trafna. Dodajmy do tego jeszcze stwierdzenie oczywiste, że doniosłą rolę w systematycznym rozwijaniu pracy wychowawczej, kształtującej nową świecką moralność młodego pokolenia wsi, odegrać może Związek Młodzieży Wiejskiej, który przekroczył niedawno liczbę miliona członków.

STANISŁAW MARKIEWICZ

W świecie filmu

„PIERWSZA MIŁOŚĆ” — NA EKRAPIE

Z okazji 150 rocznicy urodzin Turgeniewa wytwórnia „Mosfilm” podjęła pracę nad kolorowym filmem fabularnym „Pierwsza miłość”, opartym na opowiadaniu tego pisarza. Reżyseruje Wasyl Ordyński, który jest także autorem scenariusza. Opowiadanie to, mające autobiograficzny charakter, należało do ulubionych utworów Turgeniewa. Pisał o nim: to jedyny utwór, który daje mi zadowolenie. W głównych rolach wystąpią I. Pieczernikowa i I. Smoktunowski.

FILM O ZAMKU MIĘDZYRZECKIM

Reż. Krystyna Leśniewska z WFO w Łodzi poświęca swój nowy kolorowy film popularnooświatowy jednemu z dawnych bastionów Polski na jej zachodnich rubieżach. „Opowieść o międzyrzeckim zamku” — taki tytuł nosi film — ukazuje dawną polską twierdzę wzniesioną w XIV w. przeciwko Brandenburgii w Międzyrzeczu. Twórcy ukazują relikty zamku jak też miejscowe zabytki, mówiące o odwiecznej polskości ziem nad Odrą.

FILM ZA 13 RUBLI

W Tallinie powstała pracownia filmowa, wykonująca filmy na zamówienie klienta. Najczęściej chodzi o krótkie filmy rodzinne, okolicznościowe (np. śluby), a także... filmowe wyznania miłosne. Pracownia cieszy się ogromnym powodzeniem. Zamówienia napływają ze wszystkich stron kraju. 3-minutowy film na taśmie 8 mm kosztuje od 13 do 17 rubli.

MONTE CHRISTO 1968

Reżyser francuski Andre Hunebelle nakręcił nową wersję powieści Aleksandra Dumasa — „Hrabia Monte Christo”, której akcję przeniesie w czasy współczesne. Film pt. „Buntownik” nosić będzie podtytuł: „Pod znakiem Monte Christo”. A oto treść: Edmund Dantes został zdradzony przez swych przyjaciół z ruchu oporu, ucieka do Ameryki Południowej, znajduje tam skarb, a po 20 latach powraca do Francji, dokonuje zemsty i odzyskuje ukochaną kobietę. W roli Dantesa wystąpi Paul Barge.

MONICA VITTI — DZIEWCZYNA Z PISTOLETEM

Zdaniem krytyków włoskich, najnowszy film Moniki Vitti „Dziewczyna z pistoletem” w reżyserii Maria Manicellego jest najlepszą komediową kreacją tej aktorki. Gra Moniki wywołuje niekończące się salwy śmiechu i niektórzy sprawozdawcy nazywają ją „Sordim w spódnicy”. Film opowiada o przygodach pełnej temperamentu młodej Sycylijki, która znalazła się w Anglii w kręgu współczesnej, wyzwolonej z przesądów młodzieży, staje przed koniecznością wyboru drogi życia — tradycyjnej dla jej kraju, lub nowej, pozabawionej surowych konwenansów.

KRYZYS TAKŻE W ARGENTYNIE

W ubiegłym roku liczba widzów w kinach argentyńskich zmniejszyła się o 60 proc. w porównaniu z 1966 r. Głównym powodem jest jednak nie konkurencja telewizji, a podwyżka cen biletów.

FILM O TOTO

Reż. Camillo Mastrocinque pracuje nad filmem, do którego wejdą fragmenty najlepszych ról ekranowych niedawno zmarłego włoskiego aktora komediowego Toto. Tytuł filmu: „Totostory”.

NOWY VALENTINO?

Omar Sharif zagra rolę Rudolfa Valentino w filmie poświęconym temu bożyszczu milionów kinomanek lat dwudziestych. Będzie to musical utrzymany w rytmie tang i motywów jazzowych. Zapytany, czy nie obawia się tej roli z uwagi na „fascynującą osobowość” postaci, którą odtwarza — Sharif odpowiedział, że on sam jest równie fascynujący!

KIM NOVAK W WESTERNIE

W najbliższych dniach rozpoczyna się zdjęcia do filmu „The great bank robbery”, w którym główną rolę objęła Kim Novak. Będzie to jej pierwszy film o akcji rozgrywającej się na Dzikim Zachodzie. Partnerem Kim Novak jest Akim Tamiroff.

ANOUK AIMEE I OMAR SHARIF

„Schadzka” — tak brzmi tytuł filmu, którego realizacją podjął się Sidney Lumet. Zdjęcia nakręcane są w wielu krajach. Treścią utworu jest obsesyjna, zaborcza miłość. Grają Anouk Aimee i Omar Sharif. (Kt-PAP)



Paul Cezanne: LISTY. Oprac. John Rewald. Przeł. Joanna Guze. PIW s. 314, cena 35 zł.

Listy zebrane w tym tomie dzielą się na trzy okresy: I — listy z młodości, II — od epoki impresjonistycznej do zerwania z Zolą, III — listy do przyjaciół — listy o malarstwie. Credo artysty — całą swą teorię malarstwa — zawarł Cezanne w listach ujętych w część trzecią. Ilustracje, indeks osób.

Stanisław Pigoń: Z PRZEDZIWA PAMIĘCI. Urywki wspomnień, PIW s. 282, cena 25 zł.

Zasłużony historyk literatury, wybitny znawca twórczości A. Mic-

kiewicz, znany jest również Pigoń jako autor wspomnień zatytułowanych „Z Kamborni w świat”. W nowym tomie wspomnień znajdziemy obrazy z ziemi krośnieńskiej — rodzinnych stron autora — rozdziały poświęcone pamięci przyjaciół (Jak S. Kolaczkiego czy I. Chrzanowskiego) oraz wspomnienia z obozu w Sachsenhausen i z tajnego nauczania w okupowanym Krakowie. Piękna polszczyzna.

Patrick White: WEZEL. Przeł. Maria Skibniewska. PIW s. 370, cena 30 zł.

Jeden z nawiązań do najlepszych współczesnych pisarzy australijskich w swych powieściach przeprowadza krytykę zmaterializowanego społeczeństwa australijskiego. Na tym tle daje w „Wezle” (1966) syntezę ludzkiego cierpienia.

Italo Calvino: OPOWIEŚCI KOSMIKOMICZNE. Przeł. B. Sieroszewska. PIW s. 152, cena 15 zł.

12 opowieści wybitnego pisarza włoskiego średniego pokolenia, podporządkowane tematowi zbadania tajemnic wszechświata.

Edward Simbierowicz: Z LESNYCH MGIEL. MON s. 176, cena 10 zł.

◆ KORESPONDENCJE ◆ POLEMIKI ◆ DYSKUSJE ◆ KORESPONDENCJE ◆

WILHELM MACH, CZŁOWIEK I PISARZ

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Nie wiem, czy kierowane przez Pana pismo respektuje przyjęty bodajże w całej Polsce zwyczaj zamieszczania replik autorów, których prace recenzowane były na jego łamach. Piszę więc ten list w niepewności, czy zamiast na łamy pisma nie trafi on przypadkiem do redakcyjnego kosza. Ale to w końcu niewielkie ryzyko.

Poczułem się ogromnie zaszczycony znajdując swoje nazwisko wymienione w recenzji p. Jana Grygla zatytułowanej „Pamięci Wilhelma Macha”, a zamieszczonej w 43 numerze „Widnokładu”. Rzecz w tym, że dość niefrasobliwie i nie licząc się z możliwymi następstwami włączyłem swoje „Uwagi o esejach” z tomu „Do świadectwa i przypadku” do książki „Wilhelm Mach, człowiek i pisarz”, która „jest jakby pomnikiem niedawnemu zmarłemu pisarzowi” (cytuje p. Grygla).

Otóż! Gdybym wiedział wcześniej że książka ma być „jakby pomnikiem”, nigdy bym się na to nie zdecydował. Niestety, dowiedziałem się o tym dopiero z recenzji, a więc o wiele za późno. Wcześniej sądziłem raczej, że książka będzie jak b y monografią.

Z recenzji p. Grygla dowiedziałem się rzeczy, które mnie wprawiły w osłupienie. Dowiedziałem się np., że próbuję „dość zresztą nieprecyzyjnie ustalić istotne cechy gatunkowe eseju, następnie do wyidealizowanej definicji przynależam (—m— przyp. mój) utwory Macha i stwierdzam (—m—), że nie spełniają warunków założonych w definicji”, tak jakby to teoretycy literatury stwarzali rodzaje i gatunki literackie, a nie pisarze, i jakby to właśnie pisarze musieli z żelazną dyscypliną przestrzegać reguł poetyki.

Zarzut druzgocący i całkowita kompromitacja. Aż wstyd powiedzieć, że nie czuję się mimo wszystko z tego zgotowanej ani skompromitowany. Bo w rzeczywistości w wiadomym szkicu nie tylko nie próbowałem ustalić cech gatunkowych eseju, ale — wręcz przeciwnie — usiłowałem wykazać, że takie ustalenie jest n i e m o ż l i w e, a esaje Wilhelma Macha wartościowałem nie w oparciu o sztywne reguły poetyki, bo takie (powtarzam jeszcze raz) dla eseju nie istnieją, lecz w oparciu o zupełnie inne miary: oryginalność, odkrywczność, ciężar gatunkowy refleksji.

Skąd się więc wziął ten zarzut recenzenta? Nie wiem. Nie sądzę, żeby recenzent mógł przeoczyć ustalone przeze mnie kryteria wartościujące, gdyż zostały one podkreślone w druku, a jeżeli nie dostrzegają się ich podkreślonych w druku, to powinno się przestać pisać recenzje.

P. Grygiel mimo woli odkrywa własne kryteria wartościujące, stwierdzając, iż utwory Macha, którymi się zajmowałem, mają bezzpersonajonalny, dziennikarski charakter, a więc — w domyśle — nie należy traktować ich zbyt serio. No, cóż. Można by w tym miejscu zapytać recenzenta o jego stosunek do własnego d z i e n n i k a r s k i e g o z a w o d u, ale pozostawiam to jego przelozonym. Mnie osobliwie interesuje — i szczerze niepokoi — co innego: sprylny uprzedzenie recenzenta do wszelkich krytycznych ocen dorobku twórczego Macha. O wiele łaskawszym okiem popatrzyłby on na książkę — pomnik wykuta z jednej bryły bezkrytycznych zachwytów. Obawiam się jednak, że takie książki — pomniki są bardzo nietrwałe. Najtrwałość są, jak wiadomo, pomniki z granitu.

Napisałem krytyczny szkic o kilku esejach Macha w nadziei, że pomoże on czytelnikowi uświadomić sobie, jak trudną i daleką drogę pisarską odbył ten twórca od pierwszych i nie zawsze udanych prób pióra, aż do ostatnich, świetnych powieści. Myślałem (nawnie zapewne), że konfrontacja utworów najlepszych (którymi miałem szczęście zająć się moi Koleźdzy) z najgorszymi (którymi ja miałem nieszczęście się zająć), da w e-

fekcie pełniejszy i bardziej ludzki obraz Wilhelma Macha — Człowieka i Pisarza.

Proszę Czytelników Księgi Machowskiej, aby mi dorwali te naiwności. Łączę wyrazy poważania

STANISŁAW GĘBAŁA

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Piszę do Pana z nie tajoną nadzieją, iż zobacze ten list na łamach „Widnokładu”, w którym opublikował Pan recenzję książki „Wilhelm Mach, człowiek i pisarz”.

Otóż o tę recenzję mi idzie. Zmusiła mnie ona do ponownego odczytania mego szkicu o reportażach Macha. I, jak widzę, przyjdzie mi się zgodzić z Panem, że pisząc o reportażach autora „Agnieszki...”, zastosowałem „dość dyskusyjną przymiarę”. Ale co Pan na to, jeśli powiem, że o to mi właśnie chodziło, aby doznał zestawienia reportażu Machowskiego z klasycznym reportażem artystycznym, jakiego istnieniu wbrew powszechnie znanym faktom historyczno-literackim usiłuje Pan zaprzeczać.

O tym, czy istnieje poetyka reportażu (ma się rozumieć nieliterackiego) pisał nie będę, bo nie myślę się powtarzać. Wystarczy zerknąć na przypisy, jakie podałem w moim szkicu. A Pan chyba to zrobił?

Dobrze pamiętam o tym, że Kisch — praktyk i teoretyk reportażu — był świetnym dziennikarzem. Równie dobrze wiem o tym, że jego reportaż — wbrew temu, co Pan sądzi — dzisiaj już klasyczne, oparty się próbie czasu.

Powątpiewam, czy warto tutaj kruszyć przysłowiowe kopie o poetykę utworów Macha. Proszę mi wierzyć, nie myślę się kajać. Jedynie dlatego „zgrzeszyłem”, pisząc o nich, ponieważ byłem pewny, że mój szkic znajdzie się w księdze mającej charakter monograficzny. I tak rzeczywiście się stało. Gdyby miało być inaczej, nie jestem pewien, czy podjąłbym się oddzielnego omówienia reportażu z tomu „Doświadczenia i przypadki”!

Imputuje mi Pan, jakoby czytnik Machowi „wyrzuty”, że jego reportaż — że są inne niż Kischowskie. Czyżby Pan sądził, że nie wiedziałem o tym, że Mach nie żyje, że „nieobecni” nie mają szans na obronę?

Śmierć zamknięła wprawdzie twórczość Macha, tak jak nieodwracalnie przerwała jego życie, ale nie oznacza ona wystarczającego powodu do bezkrytycznej oceny jego pisarstwa. Dlatego wolno mi tworzyć „Gór nad Czarnym Morzem” przyjemny do n a j w i e k s z y c h, a nawet jeśli to w odniesieniu do reportażu ukazało poważne braki w sposobie reporterskiego kształtowania świata przez Macha. Mach — prozę Pana Redaktora — miał wielkie ambicje. Zrealizował je w powieściach. Nie udało mu się w publicystyce wchodzącej w skład tomu „Doświadczenia i przypadki”. Opowiadania, esaje, reportaże i felietony. I to jest druga strona p r a w d y o jego twórczości.

Sądzę, że Pański sentyment do pisarstwa autora „Agnieszki, córki Kolumba”, który to sentyment dostrzegłem w recenzji pt. „Pamięci Wilhelma Macha”, przeważa na tym, iż Pan zamieszczył niniejsze sprostowanie na łamach „Widnokładu”.
Z poważaniem

GUSTAW OSTASZ

W 43 numerze „Widnokładu” z dnia 21 października 1968 r. ukazała się recenzja książki: „Wilhelm Mach, człowiek i pisarz”, pióra Jana Grygla. Ze względu na „zaszczytowanie” mnie jednym z głównych ataków w związku z rozprawką o opowiadaniach Macha z lat 1945—53 chciałym ustosunkować się do postawionych mi zarzutów.

W recenzji uderza brak docenienia faktu genetycznych badań literackich, czego przede wszystkim wymaga się od historyka literatury, kto w dia ustalenia i sprezywania narzę-

dzi badawczych, w wypadku niezbędnej analizy tekstu danego pisarza, zmuszony jest sięgnąć do źródeł literackich i pozaliterackich, wyjaśniających taki właśnie, a nie inny wybrób chwytów i zabiegów stylizacyjnych. Autor recenzji nie zwrócił uwagi na fakt, że wskazanie na owe czynniki sprawce utworów Macha miało ułatwić określenie rodzaju ich asymilacji w nowej strukturze, a tym samym pomóc w uchwyceniu stopnia ich oryginalności. Stąd właśnie zastosowano różne metody badawcze.

Zarzut przesadnej wpływołigi nie jest słuszny z innych jeszcze powodów, o których mówi René Wellek w ten sposób: „W nauce o literaturze każdemu wolno badać każdą kwestię... Każdy może też badać co chce”.

W wypadku małych form Macha poszukiwanie źródeł inspirujących twórczości okresu wstępnego było rzeczą nieodzowną. Utwory powstałe do roku 1948 stanowiły jakby głos polemiczny na tle ogólnopolskiej dyskusji, zmierzającej do wypracowania nowego modelu literatury. Dlatego też zjawisk literackich tego okresu nie powinno się izolować od głównej linii ówczesnych polemik tak, jak nie można mówić o utworach lat 1948—53 nie wiążąc ich z programem literatury socrealizmu. Cóż więc, kiedy w opowiadaniach Macha występuje sporo tych źródeł inspirujących, które w ostateczności wskazują na niezbyt wysoką rangę jego wczesnego pisarstwa. Czyż dlatego mamy sobie wyrzucić przesadę z punktu widzenia metodologii badania literackiego? Pisarz daleki od dużych osiągnięć, jakimi okazał się Mach w pierwszym okresie twórczości, zwłaszcza noweli i powieści, tym bardziej wymaga wieloletniego tropienia motywów i podniet twórczych. Wiąże się to m. in. z aktualnym, powtórnym zainteresowaniem badaniami genetycznymi w ramach literatury porównawczej, czego dowodzą prace Wiktora M. Zyrmunskiego, Rene Etienne’a, Wolfganga Bernarda Fleischmana, Rene Welleka i innych teoretyków — komparatystów. Oto co pisze np. Zyrmunski: „...ogromne znaczenie metodyczne ma porównanie twórczości pisarza z tradycją literacką narodową i międzynarodową, z wywierającymi na niego wpływ poprzednikami i współczesnymi, w celu ustalenia uwarunkowanego historycznie podobieństwa lub różnic między nimi. Właśnie przy pomocy podobnych zestawień poznajemy samodzielność twórczą pisarza i jego miejsce w ogólnym rozwoju literatury narodowej i światowej” (Problem historyczno-porównawczych badań literackich „Pamiętnik Literacki” R. XIV, t. 3, s. 293, Wrocław 1968).

Wydaje się, iż autor recenzji rozumie wpływołigę w kategoriach dziewiętnastowiecznego faktualizmu jako badanie źródeł i wpływów.

Następny zarzut brzmi: „Budzi wątpliwość wyprowadzenie rodzaju wczesnego pisarstwa Macha z wpływów literatury pozytywistycznej (...) w końcu każdą obywatelską prozę można uznać za kontynuatora tradycji pozytywistycznej, ale to nie świadczy o bezpośrodkich wpływach pozytywizmu na twórcę”.

Pierwszy parados: czy zaangażowaną twórczość Odrodzenia i Oświecenia też należy uznać za kontynuatora tradycji pozytywistycznej? Na szczęście nie tylko ja jedna dostrzegłam związku utworów Macha z pozytywizmem. Zwrócili uwagę na to jeszcze inni badacze. W moim wypadku wydaje się, że konsekwentnie zarzut pisarstwa Macha z poetyką powieści i noweli — dość wyraźnie ukazane w pracy, nie wymagają szerszego uzasadnienia.

Wyjaśnię to n e k o n e k s j e t e (pośrednie lub bezpośrednie) stałyby podstawową tezę rozprawy. Tymczasem reprezentują one tylko jedną z nich, upodmiotowioną wobec naczelnej, jaką jest uznanie noweli i powieści Macha z lat 1945—53 za wstępną fazę, zapowiadającą (poprzez niektóre motywy i elementy strukturalne) twórczość powieściową, decydującą o randze i popularności autora

Z LAT WOJNY I OKUPACJI. 1939—1945. MON s. 440, cena 45 zł.

Tom zawiera fragmenty prac magistrskich nagrodzonych i wyróżnionych w 1965 roku w ramach nagrody im. Aleksandra Zawadzkiego. Temat: tradycje walk wyzwolenech i rewolucyjnych narodu polskiego w drugiej wojnie światowej.

Paul Herrmann: **POKAZCIE MI TESTAMENT ADAMA.** Na szlakach nowożytnych odkryć geograficznych. PIW s. 603, cena 75 zł.

Autor przedstawia na podstawie bogatego materiału faktycznego i dokumentarnego, w lekkiej i interesującej formie dzieje nowożytnych odkryć geograficznych: historie wypraw od końca XV do połowy XIX stulecia i dzieje wielkich podróźników.

German Arciniégas: **BURZLIWE DZIEJE Morza Karaibskiego.** Przet. K. K. Zawadowski. PIW s. 441, cena 60 zł.

Wybitne dzieło, tłumaczone na wiele języków, jest zarówno dziełem historycznym jak i swobodną, ciekawą gawędą o czasach i ludziach, którzy tworzyli tę historię.

Drugie wydanie interesującego i barwnego zbioru wspomnień okupacyjnych i partyzanckich z lat 1939—1945 na Kielecczyźnie. Przet. wszystkim o Armii Ludowej.

Jadwiga Zylńska: **ZŁOTA WŁOCHCZNA.** T. 1/2. PIW s. 283+287, cena 49 zł.

Powieść historyczna z początków jedenastego wieku. Najplastyczniej oddworzyła autorka postacie: Rychczy, żony Mieszka Drugiego oraz Bolesława Chrobrego.

Edmonde Charles-Roux: **ZAPOMNIEC PALERMO.** Przet. E. Bąkowska. PIW s. 337, cena 24 zł.

Debiut młodej francuskiej pisarki, wyróżniony w roku 1966 Nagrodą Goncourtów. Powieść jest wielowłatkowa, przenosi nas w odległe czasy i miejsca (Włochy i Ameryka), chce zbadać istotę ludzkich losów we świecie współczesnej cywilizacji.

William Gallacher: **OSTATNIE WSPOMNIENIA.** Przet. H. Bielicka. KIW s. 440, cena 35 zł.

Bogatwo przeżyć znanego angielskiego działacza ruchu robotniczego, znalazło wyraz w obszernych wspomnieniach. Ukazują one brytyjski

ruch robotniczy w okresie pierwszych 50 lat XX wieku.

Bruno Frank: **CERVANTES.** Wyd. Literackie s. 311, cena 17 zł.

Biografia hiszpańskiego pisarza pióra niemieckiego powieściopisarza i dramaturga. Plastyczny, jedyny opis epoki (XVI w.) — sensacyjne wprost przeżycia i przygody autora „Don Kichota”.

Jean Bertrand Barere: **HUGO. CZŁOWIEK I DZIEŁO.** Przet. Jerzy Parvi. PIW s. 383, cena 30 zł.

Książka poświęcona drodze twórczej jednego z największych pisarzy francuskich XIX wieku. Na tle drobniogłowo ukazanych faktów biograficznych — dokładna analiza dzieł pisarza, z ukazaniem jego rozterek duchowych mających wpływ na twórczość.

Anatol Marienhof: **ROMANS Z PRZYJACIÓŁMI.** Ila Schneider. Spotkania z Jesieninem. Przet. Adam Galis. PIW s. 219, cena 22 zł.

Dwie odrębne pozycje związane z życiem i twórczością Sergiusza Jesienina. Wiele interesujących informacji o życiu poety, jego najbliższych i przyjaciół.

„Gór nad Czarnym Morzem”. Uzasadnienie tej tezy wymagało szerszych zabiegów analitycznych, zarówno w oparciu o związki z pozytywizmem, jak i filozofia, czy tendencjami, występującymi w prozie psychologizacji XX wieku.

Badacz literatury oczekuje na recenzję, mało, winien liczyć się z sądami krytyki, ponieważ w niej często poszukuje sprawdziłności swego warsztatu badawczego. Ale jeśli ona

Jednocześnie przekreśla pracę nie-raz bardzo żmudną — musi polemizować. To jest zarówno jego wewnętrzna potrzeba jak i obowiązkiem. Publikowana, często odbiegająca od właściwej prawdy, krytyka krzywdzi nie tylko badacza, ale i czytelnika, który w wielu wypadkach kształtuje sądy o książce na podstawie przeczytanej recenzji.

EUGENIA LOCH

„Kto komu łeb rzezał”

W związku z artykułem „Herby jako źródła historyczne” („Widnokład” nr 42 z 20. X. 1968 r.) chciałem zabrać głos w sprawie herbu miasta Brzozowa, pomijając polemikę nad sprawą Chorwatów, Jordanesa... do mirowi odwołanego — Przemysła, czy Kraju Dzwic, które bym do legend włożył, a nie do historii. Otóż po długim szperaniu w brzoziowianach znalazłem śladem, względnie osiem odłbek pieczęci, którymi się pieczętowano w ciągu sześciu wieków władza miejska. Pieczęcie były w różnych czasach różne: najstarsza ze znanych mi odłbek, pochodząca być może z XIV wieku przedstawia głowę w aureoli (podobną głowie Wernyhory z obrazu Jana Matejki) o średnicy 32 mm, bez żadnych ornamentów, napis w otoku: „SIGILLUM CIVITATIS BRZOZOVI”, późniejsze pieczęcie mają w wszystkich wariantach jako motywy świętą głowę i brzoza, a napisy AMICI CIA — PATIENTIA — HUMANITAS, później spolszczone — MIŁOŚĆ — CIERPLIWOŚĆ — KŁOSK. Napisy: „Sigillum Civitatis Brzozo”, albo „Zwierchność Gmin Brzozo”, albo „Zwierchność Gminna Król — Woln. miasta Brzoza”. Obok hasel rok 1359, w nowszych pieczęciach stylizowana ornamentyka i korona Kazimierzowska.

moim zdaniem winien w jak najkrótszy sposób podawać treść, o którą nam w danym wypadku chodzi.

Odnosnie herbu województwa rzeszowskiego, to projekt wyłuszczonego przez Sz. Autora wydaje mi się tak przeładowany szczegółami, że konia z rzedem rysownikowi, który by projekt do realizacji wykonał, i mapa województwa, i siarka, i Stalowa Wola, i Bieszczady — Solina — Walter, krew proletariatu — prawdziwy ecotail, ani wzmianki o Rzeszowie, przecież siedziby władz wojewódzkich. W herbie Rzeszowa uproszczenie, symbolizujące wystarczająco mia sto podobnie, jak liść klonu symbol Kanady — prosty, zwiezły i zrozumiały nawet przez dziecko. Wiem, że Sz. Autor dużo przeczytał, ale obiektywizm nie znajduje w artykule polemicznym ani za centa, a takie zdanie jak: „Obopólnie znieławidziły Rzym” — po przyjęciu tak zwanego „chrześcijaństwa”, „Jakiegoś świętego Jana Chrzciciela” i że dopiero z chrystianizacją stali się ludźmi, czy „odbył się już po „chrystianizacji” tych krajów” — świadcza o bezpardonowym subiektywizmie Sz. Autora. Historię nazwałbym matematyką humanizmu, nieistotne fakty historii wyrzuca w właściwym czasie za burtę, zostawmy więc te zagadnienia historykom — fachowcom i nie mieszajmy pojęć, by nie zasługiwać na sztyderstwo jak już sporo historycznych wydarzeń los taki na naszych oczach spotkał. A gdy chodzi o ustalenie herbu Rzeszowa, czy województwa rzeszowskiego, to konkurs wydaje mi się najlepszą formą.

JACEK JOTERSKI

O polskich wystawach w monachijskim czasopiśmie

Ukazujące się w Monachium czasopismo „Die Kunst und das schoene Heim” wprowadziło w bieżącym roku stałą rubrykę polską w dziale sprawozdań z wystaw artystycznych. Na łamach tego periodyku opublikowane już zostały sprawozdania: Wiesławy Wierzbowskiej z wystawy poświęconej malarstwu Stanisława Ignacego Witkiewicza oraz Ireny Huml z pracami Władysława Wołkowskiego. W najbliższym

numerze ukaże się sprawozdanie z Galerii Sztuki Współczesnej w Warszawie pióra Stanisława Stopczyka oraz recenzja tegoż autora z książki „Złoty widnokrąg” prof. Michała Walickiego.

Dalszy numer „Die Kunst und das schoene Heim” przyniesie sprawozdanie z zorganizowanej w Zurychu wystawy tkanin artystycznych Magdaleny Abakanowicz.

Chrońmy zabytki przyrody

(Ciąg dalszy ze str. 2)

Wystarczy wymienić wspólną, liczącą około 300 lat sosnę i lipy w Żolyni Dolnej, stare dęby i lipy w Koslinie, Kraczkowej i innych wsiach. Takich pojedynczych drzew znajduje się sporo w samym Łańcucie. Wśród nich najwięcej znana jest ogromna lipa, znajdująca się na obronnym wzgórzu pierwszego zamku łańcuckiego Pileckich i Stadnickich. Tradycja utrzymuje, że pod nią siedział król Władysław Jagiełło, który trzecią żonę, Elżbietę z Pileckich Granowską, miał właśnie w Łańcucie.

Osobliwość przyrodniczą naszego powiatu stanowią dwa stanowiska orzecha wodnego — na stawie w Brzósze Stadnickiej i w korycie Starego Wiskoka w Dąbrówkach.

W Medynie Głogowskiej i Łańcuckiej występuje sporo głazów narzutowych. W Białobrzegach, Rakaszewie i Tarnawce znajdują się większe stawy.

Dużą ozdobą ziemi łańcuckiej sa, może nie zbyt duże, ale zawsze piękne lasy. Należy tutaj między innymi wymienić Zale-

sie, Czarną, Rakaszewę, Dąbrówkę, Albogowę, Husów i Handzlówkę (z ujściem wody dla wodociągu zamkowego w Łańcucie).

Pewnego rodzaju uzupełnieniem naszych lasów są „Bazantarnie”. Jest ich kilka, w tym jedna w Łańcucie.

Na osobną wzmiankę zasługuje uroda krajobrazu łańcuckiego. Niezwykle malownicze położenie posiada słynna ze swoich gospodarzy i kulturalnych osiągnięć Handzlówka. Z pięknymi, tonącymi w sadach i kwiatkach domkami, wygląda niczym jeden wielki ogród. Osobliwy wdzięk posiadają zalesione Dąbrówki, szczególnie w okolicy Nadleśnictwa, z zabytkowymi, drewnianymi — lesniczówkami i suszarniami nasion leśnych. Duże zainteresowanie budzą pejzaże Markowej z tak charakterystycznymi dla niej wiatrakami i dużą ilością chałup przysiópkowych.

Piękna jest ziemia łańcucka a będzie jeszcze piękniejsza, jeśli wшысьje jej mieszkańcy docenią w pełni i otoczą należytą opieką zabytki przyrody i kultury.

JAN MICAŁ

Na naszym ekranie

Mel Ferrer

Spora część widowni kinowej — zwłaszcza tej najmłodszej — zna go zapewne tylko jako męża Audrey Hepburn. Jego ostatni film wyświetlany był u nas dość dawno, od tego czasu wyrosła nam duża gromadka młodych kinomanów, którzy nigdy nie widzieli go na ekranie.

Ale matki tych widzów? O, te z pewnością przypominają sobie cichego, nieśmiałego aktora, wędrującego z miasta do miasta ze swoim kukielkowym teatrykiem — składową częścią „wesolego miasteczka” w filmie „Lili”, zakochanego w młodzieńczej dziewczynie, którą grała Leslie Caron. Uroczą atmosferę tego filmu, ładną piosenkę, liryczność obu głównych postaci — sprawiła, że „Lili” miała ogromne powodzenie, a publiczność polubiła i odtwórczynię roli tytułowej, i jej partnera.

„Lili” to był rok 1953, przedtem Mel Ferrer (urodzony 25 VIII 1917 roku w Princeton)



imał się różnych zajęć. Był dziennikarzem, próbował swych sił w literaturze, pracował w rozgłośni radiowej, by w roku 1945 wylądować w znanej wytwórni filmowej „Columbia” jako specjalista od dialogów, a następnie asystent reżysera. Był pomocnikiem Johna Forda, jednego z najznakomitszych reżyserów amerykańskich.

Wtedy jednak bardziej pociągało go aktorstwo. W tym samym roku 1945 roku debiutuje na ekranie w filmie „Lost Boundaries”, jednocześnie rozpoczynając występy na deskach scenicznych, w musicalach, wystawianych wówczas na Broadwayu. Film pochłonię go bez reszty dopiero w latach pięćdziesiątych. W 1950 występuje w 2 obrazach ekranowych — „Born to be bad” i „The secret Fury”, w 1951 w „The brave Bulles”, w 1952 w „Rancho Notorious” (był wyświetlany w telewizji), w 1953 r. w „Lili”, w 1954 — w „Rycerzach okrągłego stołu”. W roku 1956 King Vidor proponuje mu rolę w ekranizacji „Wojny i pokoju” Lwa Tolstoja i w tym filmie oglądamy go na naszych ekranach u boku Audrey Hepburn — Nataszy jako księcia Andrzeja Bolkońskiego. Film miał u nas ogromne powodzenie, Audrey Hepburn, Ferrer i Henry Fonda (który grał rolę Pierre'a) byli na ustach wszystkich widzów filmowych.

Po roku 1957 Mel Ferrer występuje jeszcze w filmach, ale już rzadziej, jego zainteresowania z aktorstwa przesuwa się na reżyserię (w 1959 r. reżyserował swój pierwszy „pełny” film „Green Mansions”), zaczyna także finansować produkcję filmów. Jest właśnie producentem filmu „El Greco” (reżyseria: Luciano Salce) wchodzącego na nasze ekrany w tym miesiącu, gdzie kreuje zarazem rolę tytułową, postać — wybitnego malarza z XVI wieku. Film opowiada o tragicznej miłości El Greco do pięknej arystokratki Jeronimy, którą gra Rosanna Schiaffino.

Czy Mel Ferrer powtórzy tą rolę sukces swojego imiennika, Jose Ferrera, który przed laty stworzył znakomitą kreację w roli wielkiego malarza, grając Toulouse-Lautreca w filmie „Moulin Rouge”?



WACŁAW ŁUCZAK — dyrektor Państw. Szkoły Muzycznej II stopnia w Przemyślu. Rys. J. SIENKIEWICZ

Nieznany Rafael w Bukareszcie

Jak donosi rumuński tygodnik społeczno-kulturalny „Contemporanul” — w Bukareszcie znaleziono nieznany obraz pędzla wielkiego włoskiego mistrza Rafaela. Obraz przedstawia postać Madonny z Dzieciątkiem wielkości 200 x 150 cm, znajdował się w prywatnych zbiorach. Jego odkrycia dokonał historyk sztuki dr Lucia Dracopol-Ispir.

Obraz został poddany bardzo dokładnym badaniom, które potwierdziły jego autentyczność, mimo że pewne późniejsze „domalowania” zniekształciły w pewnej mierze oryginalną kompozycję.

Dr Lucia Dracopol-Ispir została zaproszona przez słynnego włoskiego historyka sztuki dr Carlo Bo do Włoch i przedstawiła wyniki swych badań na publicznej konferencji w Akademii Rafaela w Urbino oraz w uniwersytecie w Urbino. (KI-PAP)

Kartki dla Ewy

Makulatura

Nigdy nie wiadomo co się w domu przyda: spreżyna ze starej kanapy, frak pradziadka czy słoik po majonezie? Oczekuje swego przeznaczenia garść zardzewiałych śrubek, trzy kapelusze i rękawiczka od pary troskliwie zdekowane na dnie szafy. Pracowicie, lata całe upychamy po kątach przeróżne graty nie mogąc się z nimi rozstać. Wyrzucić, żal a sprzedać nie ma gdzie. Gospodarskim instynktem niepokojeni dumamy nad stosom ubrań, z których wyrosły już nasze dzieci. Mole w nich gniazdzka wija, a byliby się komuś przydały.

Okazją do bohaterkich zrywów są generalne porządki, przeprowadzki i rodzinne śluby. Lekką rączką wywalamy wtedy zgromadzone dobra, serwujemy nowożeńcom resztki serwisu rodem z Cmielowa, tudzież dywanik z bawełnianych pończoch. Niech się obdarowani cieszą! Gorzej, że nikomu nie da się wmowić tuzina puszek po konserwie tatarskiej, ani słoiczek „twist-off”, choć mają takie piękne, białe zakrętki. Przypadkowo zresztą dowiedziałam się, że w tych ostatnich można konserwować owoce. Gruszki, morele, maliny trzymają się niczym w słojach Wecka. Wypróbowałam we własnym gospodarstwie!

Inne opakowania leżą bezużytecznie. Nie tylko zresztą o nie chodzi, także o stare buty, suchy chleb, kości, szmaty — wszelakie domowe relikwiry, których chcielibyśmy się pozbyć. Jak to wykonać — wielce skomplikowane za-

danie skoro punkty skupu mają ekstra wymagania. Przebierają w towarzystwie jak w ulegalkach, nigdy nie wiadomo czym aktualnie się interesują, a nikt nie ma tak dużo czasu, by darmo biegać do składnicy.

Za granicą problem ten rozwiązano przy pomocy ruchomych zbiorników makulatury. Cieszą się one dużym powodzeniem wśród wszystkich gospodyń domowych. Myślę, że u nas byłoby tak samo.

Zlekceważone rupiecie są w dalszym ciągu dobrem użytkowym. Wagon starych szmat i makulatury to skarb dla fabryk papieru. Skarb i dla nas, gdyż oszczędzają drewno i chronią lasy, których nie mamy za wiele. Stłuczka szklana służy do wyrobu szkła, jest składnikiem wielu proszków do szorowania. Używa się jej do wyrobu papieru ściernego i bakelitu. Inne odpadki jak skóra, guma, plastik mają również zastosowanie jako surowce wtórne. Resztki jedzenia przerobić można na wartościowy kompost nawozowy.

Specjaliści badający te zagadnienia twierdzą, że w wysypiskach miejskich leżą tysiące złotych. Można wykorzystać wszystkie odpadki nie wyłączając gruzu. Tak się też dzieje w niektórych krajach mających wyższą stopę życia niż nasza. Bogatych nie stać na marnotrawstwo. U nas, różnie bywa. Świadczy o tym choćby brak odpowiednich pojemników na śmiecie. Wrzuca się do nich wszystko jak leci, podczas gdy na Węgrzech czy w NRD są wyznaczone osobne kubły na odpadki użytkowe. Nie zdobyliśmy się na taki luksus, za to w krzyżówkach i na etykietach zapalczywych znajdujemy piękne hasła o potrzebie zbierania złomu i makulatury.

Tylko butelki po „CCK” (Czysta Czerwona Kabzłowana) cieszą się dużym uznaniem „kolekcjonerów”. Wcale intratne hobby.

BEGA

ZDARZENIA TYGODNIA

W Domu Sztuki w Rzeszowie rozpoczął się 11 bm. pierwszy z dwóch zaplanowanych cyklów odczytów z zakresu rozważań nad estetyką w sztuce. Będzie je wygłaszał w każdy poniedziałek znany już byłcom tej placówki prof. krakowskiej ASP — Włodzimierz Hodyś. Zainteresowanych tematami odsyłamy do afisza.

W dniu 14 listopada odbyło się posiedzenie Prezydium Sekcji Działalności Artystycznej i Upowszechnienia Sztuki WKZZ w Rzeszowie, poświęcone omówieniu założeń programowych i organizacyjnych świąt pieśni i tańca organizowanych w roku kulturalnym 1968/69 dla uczczenia 25-lecia PRL.

W imprezach środowiskowych, powiatowych i wojewódzkich wezmą udział zespoły regionalne pieśni i tańca oraz kapele ludowe, działające przy poszczególnych związkach branżowych woj. rzeszowskiego.

Przed zbliżającą się sesją Miejskiej Rady Narodowej Prezydium MRN zorganizowało ostatnio w Domu Sztuki spotkanie z przedstawicielami związków twórczych mające na celu zapoznanie się z problematyką kulturalno-oświatową, jej trudnościami i potrzebami.

Ostatnio odbyło się w Rzeszowie plenium Zarządu Okręgu Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki. Podczas obrad podsumowano działalność związku w okresie przygotowawczym do V Zjazdu partii oraz realizacji zobowiązań podjętych dla jego uczczenia.

W niedzielę będzie obradował w Rzeszowie nadzwyczajny Walny Zjazd Delegatów Zjednoczenia Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych woj. rzeszowskiego. Jednym z najistotniejszych punktów porządku dziennego będzie podjęcie uchwały o zmianie nazwy Delegatury ZPZSiI na Związek Chórów i Orkiestr Ziemi Rzeszowskiej oraz wybór władz Związku.

Odbył się posiedzenie Komisji Historycznej, działającej przy WKZZ w Rzeszowie, podczas którego jej przewodniczący Marian Aleksiewicz wygłosił referat pt. „Zarys działalności związków zawodowych w latach 1918—1968”.

W ożywionej dyskusji członkowie komisji uzupełnili i zweryfikowali niektóre przedstawione przez prelegenta szczegóły.

W niedzielę, tj. 17 bm., w Domu Sztuki odbędzie się uroczystość otwarcia wystawy malarstwa i rysunku Czesława Rzepińskiego. Jeden z najwybitniejszych polskich współczesnych kolorystów, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, będzie wystawiał obrazy i rysunki, prezentując przeważnie martwą naturę i portret.

Tym razem z przyczyn od nas niezależnych odnotowujemy dwa kolejne czwartki literackie, jakie organizują w Klubie WDK „Turkus” Rzeszowski Oddział Literatów Polskich oraz Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna. Otóż poprzedniego tygodnia w Rzeszowie przebywał Stefan Otwinowski, prezes krakowskiego Oddziału ZLP, który mówił na temat środowisk literackich.

W dniu 15 bm. odbyło się spotkanie z Gerardem Górnickim prezesem poznańskiego Oddziału ZLP, który omówił problemy moralne we współczesnej literaturze.

W ubiegłą środę w Klubie „Turkus” gościł znany aktor filmowy Daniel Olbrychski i Anna Dudzińska. Na spotkanie z odtwórcą głównych ról m. in. w „Faraonie” i „Hrabinie Cosel” przybyli liczni miłośnicy ekranu.